

SWIAT



SPOTKANIE Z DZIEJAMI ZIEMI

podczas praktyk wakacyjnych na Kielecczyźnie. Studenci geologii Uniwersytetu Warszawskiego — przyszli badacze naszych ojczyństw bogactw, sposobią się do pięknego, ciekawego zawodu

Fot. „Świat” — Władysław Sławny

SWIAT NASZA KRONIKA

OBCHODY Święta Dziesięciolecia pogłębione zostały mocnym akcentem międzynarodowym: właśnie w przededniu 22 lipca podpisano rozejm w Wietnamie.

Osiem lat trwająca wojna zakończyła się wielkim zwycięstwem narodu wietnamskiego. Zwolennicy wojny kolonialnej zostali zmuszeni do zaprzestania działań wojennych. Amerykańscy i inni zwolennicy „umiędzynarodowienia” walk indochińskich czyli, innymi słowy mówiąc, zwolennicy rozszerzenia wojny na dalsze obszary Azji, a może (gdyby im dobrze poszło!) zamienienia wojny indochińskiej w trzecią wojnę światową — ponieśli nową klęskę. Jest ta nowa wielka klęska podobna do tej, jaka ich spotkała przed rokiem, gdy podpisano rozejm w Korei.

Naród wietnamski, jak i naród koreański, odniosły olbrzymie moralne, polityczne i wojskowe zwycięstwo, opierając się agresji i broniąc skutecznie swej ojczyzny w najcięższych warunkach. Narody Wietnamu i Korei są prawdziwymi bohaterami naszych czasów. Poniosły one bezpośredni ciężar walki, a walka sama toczyła się nie tylko w delcie Rzeki Czerwonej, czy w samych indochińskich dżunglach, czy też na koreańskich wzgórzach. W istocie walka o Koreę, jak i o Wietnam, toczyła się we wszystkich kątach świata. Dlatego to przemoc agresorów nie zdołała osiągnąć zamierzonych rezultatów.

NOWY układ sił w świecie jest taki, że miłośnicy wojny, agresji i podboju raz po raz zmuszani zostają do porzucenia swych planów. Rozejm w Wietnamie, podpisany na Konferencji Genewskiej, dlatego stanowi istotny element naszego radosnego święta narodowego, gdyż i my również stanowimy jeden ze składników sytuacji światowej, zmieniającej układ sił na rzecz pokoju, a przeciw wojnie, na rzecz narodów, a przeciw napastnikom. Również i nasza codzienna praca, budowa siły naszego kraju we wszelkich dziedzinach przyczynia się do codziennego przesuwania się stosunku sił w kierunku przez nas upragnionym.

Sytuacja jest taka, że to co robi chłop polski w swojej Wólce, ma wpływ na dolę i los chłopów w dalekim Wietnamie, chłopów ze wsi, której nazwy nawet nie znamy. Jeśli bowiem ten nasz chłop z owej Wólki lepiej orze, lepiej pra-

cuje na roli, lepiej zbiera z pola, to wówczas rośnie dobrobyt naszego kraju. A dobrobyt naszego kraju — to ważny element w układzie sił międzynarodowych — za pokojem i socjalizmem.

Jeśli ten chłop Jan z Wólki dojdzie do przekonania, że spółdzielnia produkcyjna stanowi wyższy, bardziej nowoczesny i korzystniejszy sposób gospodarowania, i do spółdzielni takiej przystąpi, to wówczas zostaje znów w jednym punkcie zniszczona resztką kapitalistycznego panowania w postaci kułackiego wyzysku, kapitalizmowi zostanie wydarty jeden jeszcze teren panowania. Tym sposobem wydrze się kułakowi władzę nad ludźmi z Wólki, tak jak kułakom wietnamskim, a przedtem chińskim wydarto władzę nad chłopami tych dalekich azjatyckich krajów.

Słowem, wszędzie dziś toczy się walka o nowe życie, o nowy świat pokoju, szczęścia i dobrobytu.

W DNIACH narodowego uniesienia, narodowej radości z naszych osiągnięć i ze zwycięstwa pokoju trudno nie powracać do Mickiewicza:

„Dość ucho przyłożyć do ziemi — pisał wielki poeta — tam w tawernach niemieckich, na fobourgach paryskich, nawet w chatach włoskich, jeden rozchodzi się huk, wrózący trzęsienie ziemi. Kiedy nastąpi burza, za rok czy za lat sto, dla mnie obojętne pytanie; czuję że nastąpić musi...”

A kiedy indziej:

„Jakież teraz jest najpierwsze, najgłówniejsze, najżywsze życzenie ludów? Nie wahamy się powiedzieć, że jest to życzenie porozumienia się, połączenia się, zmasowania interesów, bez którego nie podobna będzie zrozumieć woli powszechnej...”

I wreszcie pisał Mickiewicz:

„Narody nie mają żadnego interesu gubić się nawzajem. Dzień upadku despotów będzie pierwszym dniem zgody i pokoju narodów...”

DESPOCI naszej epoki nie upadają jednego dnia. Despoci naszej epoki mają po sto głów w giełdach, bankach, sztabach i w pałacach rządowych. Tym niemniej wielka epoka przyjaźni i pokoju realizuje się.

Na drodze tej mamy wielkie odnotowania zwycięstwa. Rozejm w Wietnamie to jedno z największych zwycięstw w ostatnim czasie.

JAN SZELĄG



Przewodniczący delegacji Wietnamskiej Republiki Demokratycznej na konferencję genewską, wicepremier Fam Wan Dong, w rozmowie z przedstawicielem Indii w ONZ i specjalnym wysłannikiem premiera Nehru — panem Kriszna Menon

W PRZEDEDNIE

EDMUND OSMANCZYK

GENEWA, 19 LIPCA. Dramatyczność konferencji genewskiej odczuwamy tu wszyscy, choć w sposób bardzo różny: dla jednych konferencja stała się sportowym wyścigiem nazywanym z humorem „tour de Mendes-France”, zdąży czy nie zdąży do 20 lipca uzyskać zawieszenie broni? Dla innych konferencja stała się walką „wolnoamerykańską”, w której pewne koła amerykańskie uważają, że wszystkie chwytły są dozwolone, bo inaczej trwałyby pokój uni-cestwi ich antypokojowe plany.

Dla nas natomiast, tzn. dla tych wszystkich, którzy milują pokój, konferencja genewska jest dramatyczna zwycięstwo po ludzku, bo nie zapominajmy ani przez chwilę, że chodzi o życie ludzkie trawione od 8 lat w Indochinach przez brudną wojnę francusko-amerykańską szajki bankierów, spekulantów, szmuglerów i fabrykantów broni.

Parlament francuski, ten sam, który popierał przez tyle lat brudną wojnę i politykę pana Bidault, powołał przed miesiącem na stanowisko premiera pana Mendes-France po to, aby szybko położył kres wojnie w Indochinach, ponieważ sytuacja militarna stała się tam do tego stopnia krytyczna, według

opini francuskich generałów i ich amerykańskich doradców, że francuskiemu korpusowi ekspedycyjnemu grozi całkowita klęska i kapitulacja, a sytuacja wewnętrzna we Francji stała się również krytyczna, ponieważ olbrzymia większość narodu francuskiego domaga się natychmiastowego zakończenia brudnej wojny.

Ten rozwój sytuacji zewnętrznej i wewnętrznej Francji rozniewał Stany Zjednoczone i cięń tego gniewu padł na konferencję genewską, kiedy szybko posuwające się naprzód rokowania między premierem Mendes-France a min. Mołotowem, Czou En-lajem i Fam Wan Dongiem zostały brutalnie przerwane wizytą min. Dullesa w Paryżu.

Czy i jakie zobowiązania konkretne, względnie ogólne, przyjął, względnie musiał przyjąć, premier Mendes-France pod naciskiem mister Dulles — nie wiemy. Faktem jest tylko to, że premier Mendes-France po powrocie z Paryża zaczął odchyłać się od linii narodu francuskiego a przechylać na linię amerykańskich miłośników dzielenia świata, zwolenników podziału Niemiec, Korei, a teraz — jeśli to możliwe — i Indochin, a wszystko w celu tworzenia nowych baz dla wojsk amerykańskich i agresywnych paktów przygotowujących nową wojnę światową.

Być może była to tylko sprawa taktyki ze strony pana Mendes-France, ale faktem jest, że w Genewie po paryskiej wizycie ministra Dulles stało się oczywiste, że strona zachodnia wchodzi na niebezpieczną linię amerykańskich marzeń o ograniczeniu rozejmu do czasowego zawieszenia broni i nie dopuszczania do tego, by rozejm miał przywrócić trwa-

ŻYWIOŁOWA

Austrię i Bawarię nawiedziła żywiołowa klęska powodzi o sile nienotowanej od sześćdziesięciu lat. Runęły dziesiątki mostów, linie kolejowe i drogi zalała woda. Według dotychczasowych danych ponad 50 tysięcy ludzi straciło dach nad głową





„Wierzę — powiedział 12 lipca na genewskim lotnisku premier Czou En-lai — że jeśli wszystkie zainteresowane strony wykażą ducha pojednawczości w poszukiwaniu pokoju, konferencja genewska potrafi przywrócić pokój w Indochinach”

20 LIPCA

Korespondencja własna „Świata”

ly pokój, „jedność i niepodległość narodom Indochin.”

Z drugiej jednak strony wiadome było, że premier Mendes-France jest nie tylko pod naciskiem gniewnych na odprężenie międzynarodowe, spowodowane konferencją genewską, Stanów Zjednoczonych, ale i pod niezwykle silnym naciskiem sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej Francji, pod naciskiem opinii swego narodu, a wreszcie pod naciskiem kompromisowych propozycji wietnamskiej strony demokratyczno-ludowej, która — jak przyznał „New York Herald Tribune” 17 lipca — miała prawo żądać kapitulacji od francuskiego korpusu ekspedycyjnego, a zażądała kompromisowego dla obu stron honorowego porozumienia.

Jasne musiało być zatem dla pana Mendes-France, że jeśli ulegnie naciskowi amerykańskiemu i doprowadzi do nie dotrzymania ustalonego przez siebie terminu 20 lipca, spotka się z łaskawą pochwałą gniewnych dotąd Stanów Zjednoczonych, ale jednocześnie spotka się z gniewem swego narodu, który nie chce posyłać więcej swych synów na brudną, kolonialną, imperialistyczną wojnę.

Jak widać więc, premier Mendes-France musiał w Genewie dokonać wyboru: czy poddać się woli tych, którzy od lat, coraz bardziej pogrążyli Francję tzw. „amerykańską pomocą” w błocie brudnej wojny, czy też wykonać wolę swego wspaniałego narodu, umięjącego

zmusić parlament, by powołał takiego premiera, który zobowiąże się do zakończenia brudnej wojny w Indochinach.

Niewątpliwie dramatyczny dylemat, przed którym stanął premier Francji w Genewie, był wynikiem bezspornego faktu, że istnieją nadal w świecie ugrupowania, dla których każdy pokój jest rzeczą nie intratną, a zatem nie pożądaną i wszelkimi sposobami starają się paraliżować wysiłki tych, których zadaniem jest przywracanie pokoju.

Dlatego z dużym uczuciem ulgi przyjęto w Genewie niedzielne posiedzenie, pierwsze wspólne po wielodniowych dwustronnych i trójstronnych rokowaniach, posiedzenie, na którym znów można było odczuć jak wola pokoju narodów Indochin i narodu francuskiego, wsparta przez delegację Związku Radzieckiego i Chińskiej Republiki Ludowej, wytworzyła z powrotem dobrą atmosferę do końcowych rokowań, aczkolwiek jasne dla wszystkich było, że decyzja zapadnie dopiero we wtorek, bowiem ze względów już czysto taktycznych premier Francji dokona ostatecznego wyboru w ostatnim dniu wyznaczonego przez siebie terminu 20 lipca.

Z PIRACKIEJ NIEWOLI

TATA! TATA!... Mały Wojtuś wyrwał z ogromnego bukietu goździk i macha nim, macha — tak jak gdyby stamtąd, hen z wysoka można było już usłyszeć i dojrzeć to synowskie powitanie. Ale jak tu nie machać, nie wołać, kiedy mama aż płacze z radości i sama podrzuca go w górę! Był bliżej, bliżej! Jeszcze tylko chwila, ta ostatnia, najdłuższa i... Po dziewięćmiesięcznej niewoli wracając oto do kraju dzielni marynarze polskiego statku „Praca”, w piracki sposób uprowadzonego i zatrzymanego przez kuomintangowskich najmitów. Ten wysoki, szczupły, który jako pierwszy opuszcza ładującą maszynę, to właśnie ojciec Wojtusia, oficer Adam Lewandowski.

Długo, długo trwało powitanie. Wyoko w górę leciały kwiaty, chusteczki, kapelusze, co tam kto miał — tym okazywał radość i wzruszenie. I dopiero gdy minęła pierwsza fala powitalnych uścisków można było zapytać:

— Jak było na Tajwanie?

— Jak było?... — Barczysty smarownik, Mieczysław Krejski, spłuka z rozmachem za siebie.

— Tak było, ot co... — I po chwili dopiero zaczyna opowiadać o tym jak podtych i podstępnych sposobów chwytali się czangkajszekowscy żandarmi byle tylko skłonić naszych do podpisania próby o azyl.

— Najpierw — opowiada Krejski — grozili rozstrzelaniem, odbezpieczali rewolwery, celowali z automatów, później prosił, namawiali, syczeli w ucho:

— Zostań! Chcesz, będziesz siedział u nas, nie zechcesz, „zrobi” ci się wizę do Stanów, pomyśl, do USA!... a trzysta dolarów damy zaraz w łapę. No, zgoda...?

Gdy i to nie pomogło — zabrali się za „uświadamianie” nas. Nasprawdzali różnych „profesorów” z odczytami o dobrodziejstwach „wolnego świata”, spędzali na pokazy filmów wychwalających amerykański styl życia, urządzali „dyskusje” i „spotkania” w których „dyskutowali” sami ze sobą, a na koniec próbowali skaperować nas przy pomocy... prostytutek. Powiedzieli najpierw, że będzie dla nas seans filmowy urządzony przez Czerwony Krzyż, a jak zesłaliśmy już na ląd — to wzięli nas w samochody i zawieźli do najbardziej luksusowego hotelu „Cztery morza”. Tam posadzili nas obok młodych kobiet, które przedstawili jako „żony i siostry czangkajszekowskich marynarzy”. I dawaj lać nam w kielichy wino nie wino, wodę nie wodę, a te „żony”, to posiadały nam na kolana i zaczęły się obnażać. A wtedy wstaje przyłizany gość w skrojonym po amerykańsku mundurze i woła:

— Patrzcie, jak wygląda wolny świat! Znalazło się paru zdrajców, którzy po-

szli na lep tego „wolnego świata”. Większość jednak załogi dotrzymała wierności biało-czerwonej banderze. Urządzono strajk głodowy, na którego czele stanęli marynarze: Kwaśniewski, Świerczak, Sforczak. Układny, urzędujący na „Pracy” rezydent czangkajszekowskiego wywiadu, niejaki Liu, stracił swą poprzednią flegmę, miotał się, szalał, ostentacyjnie potrzasał odbezpieczonym rewolwerem, ale...

W wyniku energicznej postawy rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, na skutek fali powszechnego oburzenia i protestów na całym świecie — kuomintangowscy piraci musieli skapitulować i zgodzili się na zwolnienie załogi „Pracy”. Przy pomocy Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, który na prośbę PCK troskliwie zaopiekował się uwięzionymi — nastąpił powrót do ojczyzny. Mały Wojtuś odzyskał tatusia.

Tekst i zdjęcie A. W. WYSOCKI

Samolot ląduje. Jeszcze chwila — i Wojtuś Lewandowski uściska ojca, którego nie widział od wielu miesięcy



POWÓDŹ WZDŁUŻ DUNAJU

W Fachenlueg w pobliżu Berchtesgaden fale zerwały most; przejeżdżające tamtędy samochody zostały strzaskane. Ofiarom powodzi śpieszą z doraźną pomocą specjalne ekipy ratownicze na helikopterach, samochodach - amfibiiach i mniejszych statkach



Wezbrany Dunaj wystąpił z brzegów zalewając szeroko przedmieścia Wiednia. Poziom wody podnosi się w dalszym ciągu. Porty rzeczne przestały istnieć, ich urządzenia są całkowicie zdewastowane. Fabryki na zachodnim brzegu przerwały pracę





Pozycja w Da-Phu, na północ od Hanoi. Znajduje się już w tej chwili w rękach wyzwolicielskiej Armii Ludowej

Przegląd

FRANÇOIS CREMIEUX
Korespondent „Świata”

W HANOI



W stolicy Deltę Tonkińskiej — Hanoi

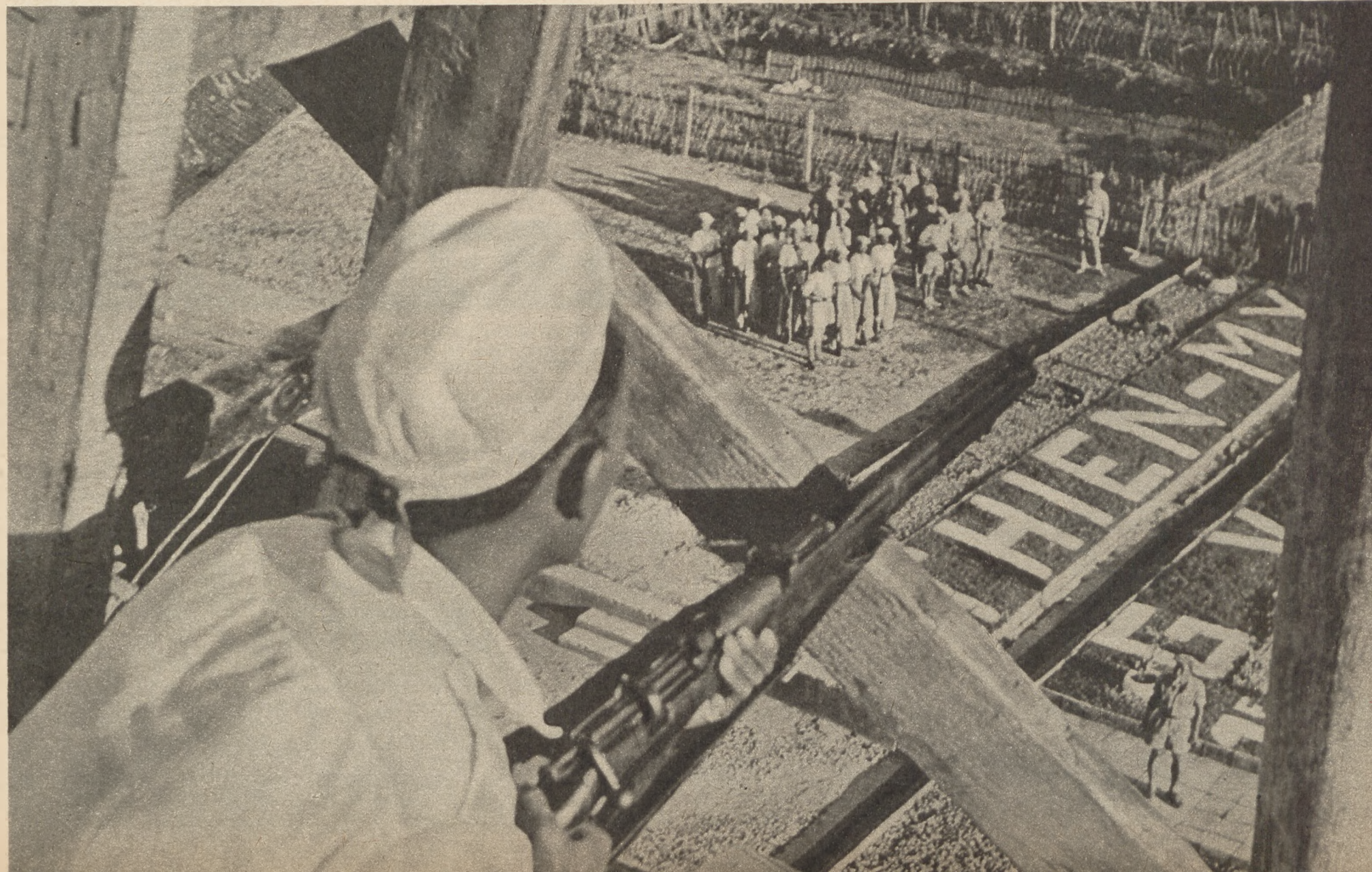
W Paryżu, w lipcu IADOMOSĆ, ogłoszona 1 lipca przez dowództwo francuskie w Hanoi, nie stanowiła wprawdzie niespodzianki dla znających opłakaną sytuację francuskiego Korpusu Ekspedycyjnego w Wietnamie, wywołała jednak z przyczyn zrozumiałych wściekłość wśród polityków amerykańskich, domagających się od Francji kontynuowania „brudnej wojny”. Wiadomość ta brzmiała: „Przeprowadza się ewakuację sił francuskich z południowej części Deltę Tonkińskiej”.

Najgęściej zaludniona część Wietnamu, licząca około czterech milionów mieszkańców, wielkie polacie pól ryżowych, zaliczające się do najbogatszych na świecie, ważny ośrodek włókienniczy w stutysięcznym mieście Nam-Dinh, sześćset ufortyfikowanych pozycji — wszystko to zostało oddane bez walki Armii Ludowej, która następowała dosłownie na pięty oddziałom Korpusu Ekspedycyjnego, porzucającym na drogach czołgi i broń.

Od wielu tygodni teren ten był już „nie do utrzymania”. Jeden z generałów fran-

cuskich określił to w sposób obrazowy: „Delta jest zgnita”. Sto tysięcy żołnierzy Armii Ludowej i wyrastający jak spod ziemi partyzanci zmuszali wroga do bezustannego pogotowia, utrzymywali go w stanie wyczerpującej nerwowości, uniemożliwiali komunikację pomiędzy poszczególnymi ośrodkami, przecinali drogi aprowizacji. Ludność cywilna udzielała pomocy i poparcia oddziałom partyzackim, nie kryjąc nienawiści do okupanta. Do tego rozpaczliwego dla wojsk kolonialistów obrazu dołączały się jeszcze coraz częstsze masowe dezercje żołnie-

Francuski Korpus Ekspedycyjny w Wietnamie zmuszony został do opuszczenia ponad sześciuset solidnie ufortyfikowanych pozycji. M. in. wojska francuskie i bao-daiowskie musiały się wycofać z południowej części Deltę Tonkińskiej. Na zdjęciu: żołnierze armii Bao - Daia w jednym z ewakuowanych już dziś fortów





—trwa stan oblężenia. Panika ogarnęła francuskich i amerykańskich kolonizatorów



Pod fully broni się rozpaczliwie piechota francuska. Na próżno: wietnamska Armia Ludowa zdobyła również i tę ważną strategicznie, umocnioną pozycję



Oddziały bao-daiowskie pospiesznie opuszczają teren pomiędzy Khe-Non i górami Song Day. Na zdjęciu widać właśnie czołg uciekający w panice przez rzekę



Wyczerpany forsowną ewakuacją oddział czołgistów podczas krótkiego postoju. „Niepewnych” żołnierzy bao-dalowskich strzegą oficerowie Korpusu Ekspedycyjnego

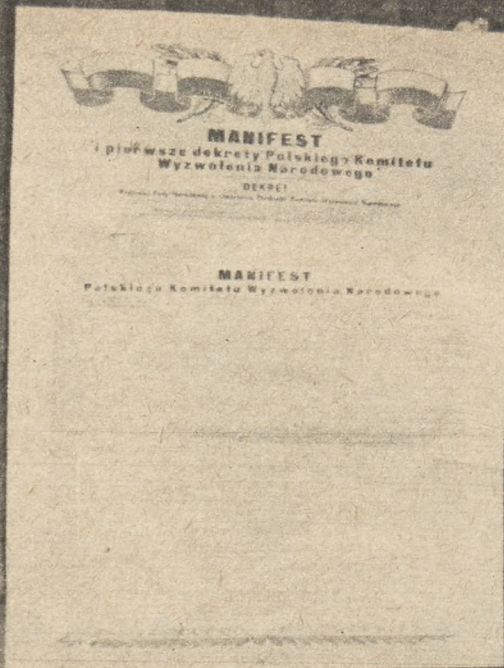
rzy wietnamskich armii Bao-Daia. Przechodząc do szeregów Armii Ludowej, zabierali ze sobą broń i ekwipunek, co stwarzało sytuację analogiczną do tej, jaką tak dobrze poznali amerykańscy doradcy Czang Kai-szeka. Nie też dziwnego, że na łamach amerykańskiej gazety St. Louis Post - Dispatch ukazał się gorzki komentarz pióra generała Thomasa Phillipsa: „Nowe sukcesy czerwonych w północnym Wietnamie spowodują utratę poważnej ilości amerykańskiego sprzętu na rzecz komunistów. Nie stanowi to dla nas bynajmniej nowego doświadczenia...”

Panika ogarnęła stolicę Deltę Tonkińskiej, wielkie miasto Hanoi. Jak szczury z tonącego okrętu uciekają bogaci kupcy, urzędnicy administracji bao-daiowskiej i oczywiście francuscy i amerykańscy kolonizatorzy. Konsul angielski zalecił już oficjalnie obywatelom brytyjskim, żeby „załatwili swoje sprawy i szykowali się do opuszczenia miasta”. Pierwszym kierunkiem tej ewakuacji „cywilnej” jest miasto Haifong, odległe od Hanoi o 65 mil na południowy wschód. Tam też kupcy z Hanoi przenoszą pospiesznie swoje zapasy, a żony urzędników francuskich przesyłają walizy z kosztownościami. Korespondent dziennika „Monde” opisywał niedawno, jak spotkał jedną z tych dam w Hanoi w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego. Kupowała szklanki, gdyż serwisy i zastawę stołową już przesłała do Haifong.

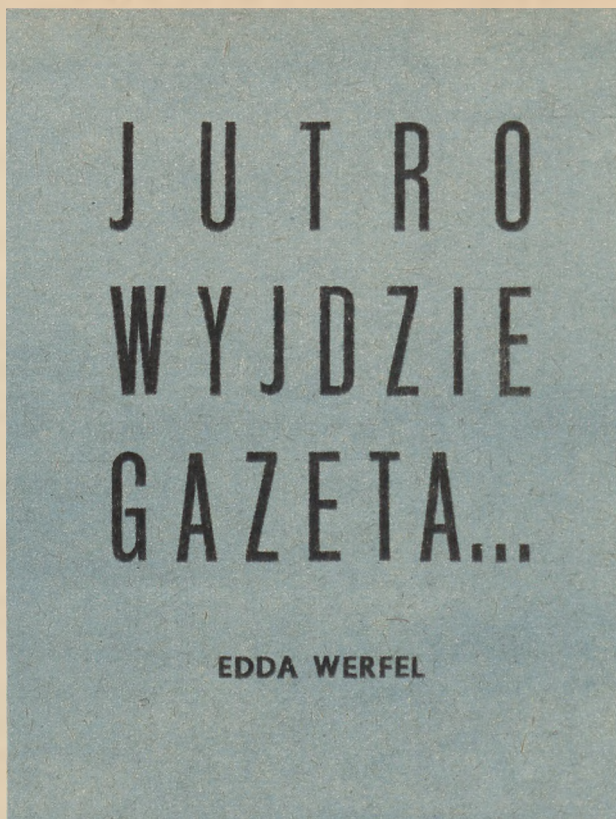
Lud wietnamski na terenach zajętych jeszcze przez wojska francuskie coraz otwarciej i gwałtowniej manifestuje przeciwko okupacji. Próby wcielenia do armii Bao-Daia nowych rekrutów zakończyły się całkowitym fiaskiem. W mieś-

cie Myrtho młodzież wietnamska wyszła na ulice z hasłem przeciwstawienia się mobilizacji. Zwykle środki represyjne zawiodły tym razem i oddziały policji... przyłączyły się do manifestantów. Wysłano wtedy nowe posiłki — żołnierzy francuskich z Korpusu Ekspedycyjnego, ale i oni przyłączyli się do pochodu i miasto Myrtho przeżyło zupełnie niezwykłą scenę: w bratnim szeregu przemaszewali przez ulice Francuzi, policjanci bao-daiowscy i młodzi Wietnamczycy, na czele zaś pochodu majestatycznie sunął czołg francuski. Zaostrzona cenzura francuska nie dopuszcza wprawdzie, żeby podobne wiadomości docierały do gazet i do świadomości opinii publicznej we Francji, ale nie jest w stanie zahamować zwycięskiej walki wyzwoleniczej ludu wietnamskiego.

Walka ta odbija się potężnym echem we Francji i znajduje oddźwięk w wielkich manifestacjach ludu francuskiego, domagającego się położenia kresu wojnie niesprawiedliwej i hańbiącej. Zbliżają się decydujące dni. Brutalna presja imperializmu amerykańskiego, której najjaskrawszym wyrazem była błyskawiczna podróż ministra Dullesa do Paryża na wieść o coraz wyraźniej zarysowującym się porozumieniu w Genewie, natrafia na zdecydowany opór narodu. Premier Mendes - France sam wyznaczył datę 20 lipca jako historyczną metę zaprzestania ognia w Wietnamie. Świadomy swego wielkiego zadania, silny poczuciem słuszności swej sprawy, lud francuski śledzi z nieślabnącą uwagą i czujnością kroki swoich przedstawicieli na konferencji genewskiej i szybko postępujące naprzód bezpośrednie rokowania dowódców wojskowych w Trung-Gia, na ziemi wietnamskiej.



MANIFEST POLSKIEGO KOMITETU WYZWOLENIA NARODOWEGO NA MURACH WYZWOLONEJ PRAGI



BYL 22 LIPCA 1944. Samolot wylądował na lotnisku. Określenie „lotnisko” w stosunku do wielkiego, błotnistego pola pełnego dołów i lejów było lekko przesadzone, ale w tych dniach nie tylko siły, lecz również lotniska mierzone na zamiary. Przybyła nas z Moskwy, ze Związku Patriotów Polskich, mała garstka, by zacząć wydawać pierwszy polski dziennik na pierwszym skrawku wolnej polskiej ziemi. Przewodził nam najdosłowniej, bo w mundurze, Jerzy Borejsza, wówczas major; poza tym był tu, również w mundurze kościuszkowców, Jerzy Putrament, jedna koleżanka i ja.

Chełm był czymś w rodzaju przedpokoju do Lublina; „redakcja” wylądowała na lotnisku w Chełmie i najbliższą okazją miała się udać do Lublina. Chełm był pełen żołnierzy I Armii Polskiej; nie wiem, jakim cudem — czy to sprawił znany ze swej donośności głos Putramenta, czy tzw. szósty zmysł — ale dwaj spośród tych tysięcy żołnierzy, jeden grafik i jeden piszący wiersze i znający dziennikarską pracę ginekolog, znaleźli się natychmiast przy redakcji, powiększonej w ten sposób o całe 50%.

Pierwszy numer pisma wydaliśmy natychmiast, wydrukowaliśmy je w drukarni, mieszczącej się w samochodzie ciężarowym, a należącej do I Armii WP.

Nazwaliśmy je „Rzeczpospolitą”; nie ze względu na tradycję przedwojenne tej nazwy (przedwojenna „Rzeczpospolita” była organem frontu Morges), lecz chyba ze względu na to, że słowo *R z e c z z p o s p o l i t a* wyrażało dla nas wszystko: tęsknotę za krajem tych, którzy byli poza nim; pragnienie tych, którzy byli świadkami gnębienia Polski przez okupanta; odwet za wrzesień; i pewność, że właśnie teraz i właśnie tu powstanie załóżek nowej Rzeczypospolitej.

Gazeta miała format nieduży i materiału niewiele, ściśle mówiąc, tylko jeden, ale była tak bogata w treść, jak rzadko która później, a na pewno żadna dawniej. Wydrukowała bowiem uchwalony tego dnia Manifest PKWN, i tak ją rozklejono na murach. Dziesiątki razy widywałam potem zdjęcie sceny, którą widziałam w oryginale: jak chłop o zarośniętej twarzy, z workiem przewieszonym przez ramie, mozołnie, na głos, czyta Manifest, czyta, że wkrótce już okupant hitlerowski będzie wypędzony z naszego kraju, że chłopom rozdana będzie ziemia obszarncza i że władza w Polsce należy do robotników i chłopów. Zdjęć mamy zresztą mało z tego okresu — nie robiliśmy ich, nie bardzo mieliśmy czym, a zresztą nie myśleliśmy jeszcze o czasach, kiedy ten okres stanie się już historyczny.

Na razie poza pierwszym numerem gazety i nami samymi nie mieliśmy dosłownie nic. Ciężarówka do Lublina była nazajutrz rano, ale gdzie, na czym i jak wydamy następny numer — bo drukarnia polowa pojechała dalek, na front — tego nikt nie wiedział. Borejsza wyjechał na 2 godziny przed nami. Gdy reszta podążała za nim, martwiliśmy się — gdzie go tam znajdziemy? Znaleźliśmy go stojącego po prostu na środku Krakowskiego Przedmieścia, kazał nam zejść i powiedział: „Drukarnia jest, papier jest, lokal jest, jutro wyjdzie gazeta”.

Była to jego pierwsza wygrana bitwa w okresie, dla którego m. in. charakterystyczny był sposób zdobywania przez Borejszę drukarni i papieru, samochodów i domów mieszkalnych, współpracowników i pomysłów, a nade wszystko — ludzi, którzy przychodzili do nowej Rzeczypospolitej w cudzysłowie i bez cudzysłowa, z najróżniejszych kierunków, nie tylko geograficznych, ale i ideologicznych.

W tę pierwszą wygraną, przyznając ze wstydem, nie wierzyliśmy wówczas; jak to — jutro? Idziemy spać, a potem się zobaczy... Nie poszliśmy spać, zobaczyliśmy



nie potem, lecz zaraz, a gazeta wyszła „jutro”, tj. 24 lipca 1944.

W drukarni było dużo entuzjazmu (z naszej strony), ale mało linotypów. Właściciel nazywał się Szczuka i wyglądał strasznie schematycznie, z czerwoną, nalaną twarzą i małymi świdrującymi oczkami; nie ukrywał bynajmniej, że jego zaufania — a tym samym możliwości drukowania na kredyt — nie zdobywa się hasłami o socjalizmie. Dla nas, z braku w Lublinie innego, był wcieleniem wielkiego kapitału, ale na razie trzeba się było wystarać o jakiś mniejszy kapitał. Nie zapomnę nigdy —

jaka szkoda, że nie ma takiego zdjęcia! — jak Borejsza, na czele swojej garstki, stał w drukarni po pracowanej nocy i z radosnym uśmiechem sprzedawał po 20 gr. pierwsze numery „Rzeczypospolitej”. Ludzie bili się o nią wówczas jak dziś o „Dokoła świata”, codziennie wpływająca gotówka uśmierzała pana-szczukową nieufność do socjalizmu.

Lokal redakcyjny mieliśmy piękny i na wyrost, jak wszystko w tych dniach. Był to cały dom na Krakowskim Przedmieściu (przedtem mieścił się w nim jakiś urząd niemiecki), przychodziły tu setki ludzi dziennie nie wiadomo po co, ale myśmy z tego korzystali. „Kadry” werbowano się w sposób uproszczony; ktoś z nas był na schodach i jeśli któryś z przechodniów mu się spodobał, zaczepiał go pytaniem: „Czy pan(i) chciał(a)by pracować w redakcji?”. Do dnia dzisiejszego w prasie, w wydawnictwach i innych instytucjach jest jeszcze wielu ludzi w ten sposób „zwerbowanych”. Kiedyś, na ulicy, ktoś z nas zaczął grupę mężczyzn w ponurych mundurach z Majdanka, z ogolonymi głowami, i przyprowadził ich do redakcji. Zaczęło się od tego, że spisano ich wspomnienia z obozu; skończyło się na tym, że cała grupa zaczęła pracować u nas, i że szereg oddanych, ofiarnych pracowników spośród niej pracuje do dzisiaj na odpowiedzialnych stanowiskach Polski Ludowej.

Gmach na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie — to drobny, ale bardzo charakterystyczny wycinek ówczesnej Polski. Żył się przede wszystkim komunikatami z frontu, który nieustannie, ale w ciężkich bojach, posuwał się naprzód. Najważniejszym przedmiotem w redakcji była mapa Europy; dorysowywaliśmy na niej niemal codziennie czerwonym ołówkiem kreski, znaczące zwycięski marsz naprzód Czerwonej Armii i, na naszych ziemiach, żołnierzy polskich. Na zachodniej części mapy mieliśmy mało okazji do rysowania...

Przeżywaliśmy i my w Lublinie bezsilną mękę powstania warszawskiego i czekaliśmy na wyzwolenie Warszawy. Przyjeżdżali żołnierze wprost z pola bitwy i opowiadali — terminologia wojskowa była w prasie częściej używana niż jakkolwiek inna. Ludzie, którzy do nas pisali, nie mogli się jeszcze oderwać od zupełnie świeżych, wczorajszych dopiero przeżyć okupacji. Trwały na łamach prasy namiętne, bolesne obrachunki z przeszłością, z tym wszystkim, co ściągnęło na kraj wrzesień, powszechne było dążenie do jakiejś Polski nowej, lepszej i czystszej niż tamta przedwrzesniowa, choć u wielu ludzi było to często dążenie mgliste, nieokreślone.

Tych, którzy kierowali życiem politycznym, społecznym i kulturalnym — a rozwijało się ono już wówczas w pełni — wyposażyły w jasne, przemyślane i realne koncepcje i plany — wiedza teoretyczna, świadomość wyrosła w latach rewolucyjnej walki; skromny, jeśli idzie o ilość, sztab ludzi, pracujący dniem i nocą na ul. Spokojnej w Lublinie, z Bolesławem Bierutem na czele, realizował program nowej Polski, wypracowany w czasie okupacji z jednej strony przez PPR i sformułowany

LEON PASTERNAK

JODŁA

*Rozkołyszcie się wody głębokie
i rozszumiecie się puszczę zieloną,
popłyniemy na fali wysokiej,
popłyniemy na fali spienionej.*

*Popłyniemy daleko, daleko,
afni w mocne i chybkie ramiona,
ku urwistym i stromym brzegom,
gdzie na skale jodła raniona.*

*Tam gdzie jodła piorunem trafiona
ciągle wichrom i szkwałem urąga,
gdzie kozica pomyka spłoszona,
skąd się dom nasz puszysty rozciąga.*

*Tam posłanie ci mchami wyściele
i ognisko rozbliśnie z wieczora...
— A tu kipią przepastne topiele
— a my sami na środku jeziora.*

*Płyniemy, płyniemy cierpliwie, wytrwale,
niech burzliwa unosi nas woda!*

*Patrz! Już jodła samotna na skale,
i zatoka, i las, i pogoda.*

przez Krajową Radę Narodową, a z drugiej strony — przez Związek Patriotów Polskich działający w Związku Radzieckim.

Trzeba było wykonywać bieżące zadania, których było mnóstwo — trwała przecież wojna i rozpoczęła się walka z reakcyjnymi bandami, kilku milionom ludzi trzeba było dać chleb i pracę, zaczęto od razu realizować reformę rolną. Ale jednocześnie myślano już o konkretnych sprawach, które będą się działy po latach i dziesięcioleciach w Polsce już z ziemiami zachodnimi. Przecież w tym samym czasie, kiedy walki trwały jeszcze na ulicach warszawskich, architekci szkicowali plany nowej Warszawy. I tak było w każdej dziedzinie. Pamiętam, jak kiedyś do ówczesnego Komitetu Ekonomicznego, założka dzisiejszego PKPG, przyjechał ktoś z prowincji — bo Lublin był stolicą! — i pytał, jaki w Polsce w ogóle, a w jego mieście w szczególności procent gospodarki narodowej ma przypaść na sektor państwowy, a jaki na spółdzielczy i prywatny. Urzędnik wznosił wtedy zmęczone oczy znad papierów z jakimiś tablicami statystycznymi i powiedział: „Macie w waszym mieście trzy budki z wodą sodową? No, to sprzedawajcie na razie wodę sodową bez podziału na sektory”. Ale jednocześnie, w innym pokoju, ktoś inny obliczał przyszłą siłę i dobrobyt Polski w tonach stali, węgla i cementu, w ilości szkół i szpitali.

Na ten niepowtarzalny nastrój składało się codzienne, konkretne zaspokajanie najpilniejszych potrzeb, przy jednoczesnym umacnianiu tego wszystkiego, co pozostało i będzie trwało — ten nastrój panował również na Krakowskim Przedmieściu.

Ten nastrój jakiejś gorączkowej tymczasowości przy jednoczesnym umacnianiu tego wszystkiego, co pozostało i będzie trwało — ten nastrój panował również na Krakowskim Przedmieściu.

Nasz zespół liczył już kilkadziesiąt ludzi. Nie byliśmy już sami. Krótko po „Rzeczypospolitej” powstał „Głos Ludu” i „Robotnik”, na naszym korytarzu zaczęło wychodzić pierwsze pismo literackie „Odrodzenie” pod redakcją Kuryluka, skupiające wszystkich pisarzy polskich i działaczy kultury, którzy znaleźli się po tej stronie frontu, a było ich sporo. Plany „Czytelnika” z jego wydawnictwami, klubami czytelniczymi, zespołami itd. zaczęła realizować grupa zapaleńców. Działał teatr, wyrosły z teatryku I Armii Polskiej, po mieście i po froncie uganiała się na „Willysie” czołówka filmowa i marzyła o polskim filmie.

Pamiętam, jak zniszczony przez Oświęcim przybył Jarecz, jak denerwował się Borejsza, bo trzeba było skądś „wyciągnąć” Parandowskiego i posłać do niego „Willysa”. W naszej stołówce zupki były cienkie, ale dyskusje długie, ciekawe, czasem namiętne, a prawie zawsze skuteczne. Argumenty, które tu padały, a przede wszystkim żarliwa chęć skupienia wszystkich, którzy chcieli służyć lepszemu doli narodu, sprawiły, że w naszym obozie, w obozie Polski Ludowej, znalazło się wielu ludzi niegdyś od niego dalekich.

Trudno teraz, po dziesięciu latach, wyluskiwać jakieś przeżycia oddzielne, specjalne, poza pierwszymi dniami Lublina, gdy ludzie ze łzami i kwiatami rzucali się w objęcia polskich żołnierzy. Pamięć, skłonna do przechowywania wszystkiego raczej, co dobre, roztopiła oddzielne drobne przeżycia w jakimś jednym tygłu wspomnień, ciepłych i słonecznych, mimo frontu, powstania warszawskiego i podziemnych band.

Nie spało się wówczas w Lublinie prawie wcale, jadło się byle co i byle jak, mieszkało się byle gdzie, żyło się bardzo intensywnie i przeważnie nadzieją na przyszłość. Czasem sceptycy uśmiechali się, gdy mówiono o planach, które wtedy wydawały się nierealne, niebotyczne — o planach, które dziś są dawno wykonane.

Wspomnę tylko jeszcze dzień, kiedyśmy wykonywali ostatnią naszą pracę redakcyjną w Lublinie — jakimś kiem, bo pędzla nie mieliśmy, i atramentem, bo tuszu też nie mieliśmy, malowaliśmy na wielkiej płachcie papieru napis: „Warszawa wolna”. Wywiesiliśmy go na balkonie i mimo mrozu — był 17 stycznia 1945 — długo staliśmy na balkonie i patrzyliśmy na ludzi, których ten napis, niechlujny i dramatyczny, wyrwał z apatii codziennych, obojętnych zajęć.

Tego samego dnia wyruszyliśmy na ciężarówkach w różnych kierunkach: do Krakowa, do Łodzi, do innych miast wyzwolonych. Do Warszawy, której nie było, pojechał tylko rząd. Skończył się „lubelski okres” Polski Ludowej.

Ci, którzy go przeżyli, chyba go nie zapomną. I nie powinni.

Gdyby nam wówczas powiedziano, że robimy historię, uśmiechnęlibyśmy się, bo nie lubimy wielkich słów. Po prostu pracowaliśmy intensywnie, przeważnie dobrze i chętnie. „Robienie historii” składa się z wielu czasem drobnych i samych dla siebie nieciekawych zdarzeń, z codziennej pracy. Z takich samych zdarzeń, z takiej pracy składa się nasze życie dziś, i to, co robimy dziś, jest w większej mierze historią niż lubelskie czasy, bo o ileż większe i poważniejsze dziś realizujemy zadania.

Warto przypomnieć sobie nastrój tamtych lubelskich dni — pierwszych dni ludowej Polski, by uświadomić sobie, że to, co z natury rzeczy w codziennej pracy rozmięliśmy na drobne zdarzenia, na drobne czyny, to wielka rzecz: siła wzruszenia.

GŁOSY O POLSCE

Frigyés Pogány

Frigyés Pogány jest wybitnym węgierskim architektem, konserwatorem i historykiem sztuki. Wchodzi w skład węgierskiego Komitetu do Spraw Architektury i Urbanistyki. Wykłada na Politechnice Budapeszteńskiej i kieruje sekcją zabytków Węgierskiej Rady Architektów. Po zwiedzeniu Polski położył wielkie zasługi jako popularyzator na Węgrzech najnowszych osiągnięć naszej architektury.



W Pałacu Łazienkowskim w Warszawie odczułem z bezpośrednią siłą przeżycia tragizm arcydzieł polskiej architektury w czasie minionej wojny. Gdy widziałem głębokie okaleczenia pięknego gmachu, dziury przeznaczone na materiał wybuchowy, mogłem ocenić straty na przykładzie ocalałego wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności Pałacu. Uszkodzone, lecz przecież ocalałe ściany przywiodły mi na pamięć zniszczone budynki Warszawy: katedrę, pałac „pod Blachą”; zabytki Gdańska i Wrocławia, których wojna nie oszczędziła.

Głębokie wrażenie wywarło na mnie godne szacunku dążenie do odrodzenia pomników przeszłości, które mogłem obserwować w całym kraju. Zrozumiałem, że naród polski pragnie te zabytki sztuki odbudować nie z sentymentu dla przeszłości, lecz dlatego, że w oparciu o naprawdę wartościową, słuszną wybraną ze swej przeszłości tradycję buduje on swe obecne i przyszłe dzieła.

Nowa Warszawa stanowi ogromną, jednolitą kompozycję, która związana jest organicznie z przeszłością.

Z odbudowanych historycznych dzielnic Starego Miasta i jego okolicy wychodzą osie miejskie i wkraczają w zespoły architektoniczne wielkich budowli dzisiejszych polskich architektów.

Najważniejszą dla mnie nauką płynącą z bogatego we wrażenia pobytu w Polsce było zrozumienie tego, że odbudowa zabytków nie jest w Polsce jakimś ściśle zawodowym czy ściśle naukowym problemem, lecz słusznym, uzasadnionym dążeniem narodu, by przejąć i twórczo rozwijać najlepsze tradycje polskiej kultury i sztuki. Naukę tę staramy się wykorzystać i na Węgrzech, zwłaszcza przy odbudowie częściowo zniszczonych, przedstawiających historyczną wartość dzielnic stolicy naszego kraju.

Pogány Frigyes



Li Lin

Li Lin jest wybitnym chińskim muzykologiem i kompozytorem. Pełni obecnie funkcję kierownika Centralnego Zespołu Pieśni i Tańca Chińskiej Republiki Ludowej oraz jest członkiem zarządu Zrzeszenia Muzyków Chińskich. W roku ubiegłym gościł Li Lin w Polsce wraz z chińskim zespołem.

Dzięki wielkim twórcom — Chopinowi i Moniuszce, dzięki wspaniałym utworom muzycznym szeregu wybitnych kompozytorów polskich — naród chiński już dawno poznał i przywiązał się w pewnym stopniu do tradycji muzycznej narodu polskiego. Po powstaniu Nowych Chin nierozzerwalna, zacieśniająca się z dnia na dzień przyjaźń między Chinami a Polską zapewnia coraz szerszy rozwój wzajemnej wymiany kulturalnej. Po występach w Chinach artystów polskich — zwłaszcza Zespołu Pieśni i Tańca „Mazowsze” — muzyka polska cieszy się jeszcze bardziej powszechnym zainteresowaniem narodu chińskiego.

W roku 1953 byłem w Polsce wraz z Zespołem Pieśni i Tańca Chińskiej Republiki Ludowej, który występował w różnych polskich miastach. Nie zapomnę do końca życia miłych i szczęśliwych dni spędzonych w Waszym kraju. Nie mogę zapomnieć serdecznego, braterskiego przyjęcia. Nie mogę zwłaszcza zapomnieć o rozmowie z towarzyszem Bolesławem Bierutem, o jego wzruszającej trosce o naszych młodych pracowników artystycznych. Wysnął on nawet propozycję, abyśmy wysłali do

Polski na studia pianistę Fu Cunga. Wzruszyło to nas głęboko.

Byliśmy na występach Państwowego Zespołu „Mazowsze”, na operach oraz na występach innych grup artystycznych. Z dzieł kompozytorów, z występów artystów możemy poznać walkę narodu polskiego o lepszą przyszłość i o pokój światowy.

Ostatnio otrzymaliśmy od polskich przyjaciół listy, z których dowiedzieliśmy się z zadowoleniem, że „Mazowsze” dało koncert, który składał się z polskich i chińskich pieśni i tańców. Wiadomość ta zachwyciła nas. Chociaż melodie Waszych i naszych pieśni różnią się od siebie, śpiewamy radośnie o wspólnym celu. Chociaż jesteśmy daleko od siebie, ale możemy słyszeć wzajemnie bicie naszych serc. Mamy więc prawo powiedzieć: „Kochamy Wasze pieśni tak samo, jak Wy kochacie nasze”.

Nasi muzycy z zamilowaniem studiują wielkie osiągnięcia polskiej muzyki. U nas często odbywają się koncerty, złożone z utworów polskiej muzyki klasycznej i współczesnej. Kochamy bowiem bardzo Wasze melodie, melodie ojczyzny Chopina — Polski.

O JANIE VIII i MARYSIEŃCE



MARYSIA

Napisal: JERZY JANICKI

Zdjęcia: WIESŁAW PRAZUCH

(2)

NAZYWALI SIĘ Gartenterg i Schreier. Ta-ak. Nikt ich tu na oczy nie widział, mieszkali stale w Wiedniu, jeździli sobie na Rivieri, do Biarritz. Nawiasem mówiąc, za nasze pieniądze. Jaka to ciekawa rzecz, że można znienawidzić człowieka, choć go się nigdy nie widziało, nie wie się nawet, jak wygląda. Mówię to na temat tych dwóch — Gartenterga i Schreiera. To ich przeklinaliśmy tu w dziesiąte pokolenie. Ja sobie nawet nie-raz myślałem: jak to w ogóle można żyć,

kiedy tyle tysięcy ludzi nienawidzi, starcy klną, kobiety płaczą, mężczyźni pomstują. I nic nie wymyśliłem prócz tego, że pewnie kapitalista ma inaczej zbudowane sumienie, nie jak człowiek, ale jak bydlę. Choć i to nie, bo jakim ręce pozbijał przy biciu kamieni i krew lepiła palce jak klej, to pies podszedł do mnie i lizał. Widzi — człowiekowi krzywda się dzieje, cierpi, no i użalił się po swojemu. Rodzice tego Gartenterga i tego drugiego też już zaczęli robić w interesie naftowym. Ale trochę inaczej. Powiadają, że chodzili z workami i nabierali ropę z kałuż, z dołów, z rowów, pełno tu jej było na Podkarpaciu. Sprzedawali ją potem to na masło, to na

smary do osi w wozach, to potem na oświetlenie. A synalkowie już nie. Nie śmierdziały im ręce naftą, oni może ropy na oczy nie widzieli. Tatusiów pieniądze zaczęli obracać, szast-prast, tu kupili szybik, tam sprzedali, wreszcie wybudowali tę oto naszą rafinerię. Ludzie tu szli do roboty z całej okolicy. I nagle przyszedł 1929 rok. Wszyscy naraz dostaliśmy wymówienie. Myślałem z początku — zwykła fala redukcji; co raz to się powtarzało i już raz w 1924 byłem zredukowany. Ale potem rozpatrzyliśmy się między sobą i okazało się, że wszyscy, no wszyscy — naftowcy, destylatorzy, spawacze, ślusarze, robotnicy placowi, wszyscy dostali wymówienie. Cała rafineria stanęła. Tyle narodu naraz zostało bez chleba. A co się okazało? Właściciele przystąpili do kartelu i kartel im wypłacał 25 tysięcy dolarów miesięcznie. Aa, lotry! Do 1937 roku, znaczący osiem lat, trwało u nas bezrobocie. Byłem wtedy w Komitecie Bezrobotnych. To wiecie, co nam, kiedyśmy stał: pod starostwem, dali? Paru ludzi załadowali na drabiniaste wozy i aż pod Zmigród jeździliśmy na dwa-trzy tygodnie kamienie tłuc przy naprawie szosy. Wykwalifikowani fachowcy, elektrycy, ślusarze walili żelaznym młotkiem w kamienie. Tak się pracowało za panów sanatorów. A za to, że nas do kamieni, że rafineria stała,

Gartenterg i Schreier ciepłą rączką brali od kartelu taki majątek.

...I oto Jan Myśliwiec, ten zredukowany, wyrzucony robotnik znów jest w rafinerii pracującej, buchającej dymem, dyszącej żarem. Opowiada mi o tym wszystkim w swoim gabinecie, jest bowiem Jan Myśliwiec — naczelnym dyrektorem rafinerii. Ma smagłą, ciemną cerę, opalone czoło, od którego jaskrawo odbijają szpakowate włosy.

— To was — pytam nagle — to was, dyrektorze, nazywają Janem VIII?

— To już wiecie? — dziwi się dyrektor — Pó ja, proszę was, pochodzę z Niegłowic. A w Niegłowicach Myśliwców w ogóle nie zliczylibyś. A nas — samych Janów Myśliwców było aż ośmiu, więc trzeba ich było jakoś rozróżnić i dano nam numery. A ja byłem ósmy... Ale to stare dzieje.

— No, nie takie znów bardzo — zaprzeczyłem — godzinę temu w szkole w Niegłowicach, kiedyśmy rozmawiali z dziećmi i spytałem nauczycielkę czyj to syn, taki miły, ładny chłopczyk, to mi odpowiedziała: aa, to Jana VIII, dyrektora rafinerii.

— Ach, więc stąd wiecie. Byliście w szkole. Do tej szkoły uczęszczają dzieci naszych robotników.

— Właśnie szukałem tam dziecka urodzonego po wyzwoleniu, już w Polsce Ludowej. Że tak powiem — rówieśnika naszych dziesięciu lat. I potem chciałem o tych dziesięciu latach i o rodzicach napisać.

— I kogo znaleźliście?

— Marysię Cyntler, córeczkę Jana Cyntlera.

— Aa, to wyśmienicie! — ucieszył się dyrektor — z Jaśkiem Cyntlerem kiedyś pracowałem na jednym wydziale. To akurat nasz najlepszy spawacz.

— Właśnie idę do niego — podniosłem się z krzesła. W tym momencie zadzwonił telefon i Jan VIII, były robotnik rafinerii, zaczął wydawać jakieś polecenia. Cyntlerowie już czekali.

* * *

Marysia jest młodszym dzieckiem Jana i Marceliny Cyntlerów. Mają jeszcze starszego od Marysi syna — Boleśława. Marysia wygląda jak przysłowiowy pączek w masle. W różowej, pełnej buzi tkwią dwa dołeczki; to ma chyba po ojcu. Jan również, kiedy się uśmiecha, ukazuje w policzkach dwa podłużne, dość filuterne dołki.

W pokoiku jesteśmy sami. Na toalecie cichutko brzęczy „Pionier“, a na nim zastęgli w forsownym marszu ołowiani żołnierze Marysi. Do niedawna bawił się nimi Bolek, ale teraz odstąpił je siostrze przerzucając swoje zainteresowania całkowicie na rower, który niedawno dostał od ojca.

Gospodarze przeproszają mnie bez przerwy za błągan, którego zresztą nie spostrzegam.

— Bałagan trochę — mówi Cyntler — bo akurat żona jakoś choruje. Zapalenie ucha, powiadają doktorzy. Już wyjeżdżała i do Krakowa, i do kliniki różnych. Wolałbym takiego przykładu nie dawać, bo to bądź co bądź choroba, ale jak mamy rozmawiać o zmianach w naszym życiu, to i to wam powiem. Gdzieby to kiedyś o zdrowie mojej kobiety ktoś się zatroszczył? Trzeba było od razu pieniędzy na stół, a pieniędzy nie było. Teraz całkiem za darmo leczy ją państwo i to leczy ją pierwszorzędni lekarze. Przecież przed wojną nie wiem, czyby na jedną wizytę zarobiła.

— A gdzie wtedy pani pracowała?

— Byłam w obowiązku, w Jaśle — odparła Cyntlerowa, ale mąż nagle zamachał rękami. Zawołał:

— Powiedz po prostu: służącą byłaś. Tu się nie ma czego wstydzić.

...Poznali się w czasie wojny. Marcelina przyszła do Niegłowic na zabawę, Jan tańczył z nią częściej niż z innymi. Potem opowiedział jej o sobie. Kiedy miał czternaście lat, ojciec wyprowadził go do roboty, bo cztery morgi w żaden sposób nie były w stanie wyżywić siedmiorga ludzi. Poszedł oczywiście do rafinerii, pracował jako chłopak przy ślusarzu maszynowym, ale że spodobało mu się spawanie, więc po

Rodzina Cyntlerów w komplecie: Jan, Marcelina, Bolek i rówieśnica Polski Ludowej — 10-letnia Marysienka



staraniach przenieśli go na pomocnika spawacza. Wszystko to trwało akurat rok, nadszedł pamiętny rok 1929. Rafineria stanęła. Szukał roboty w młynie, w cegielni — mowy nie było. Udało mu się raz pojechać jak innym pod Żmigród na naprawianie szosy. W nocy sypiali w budzie i Jan nabawił się świerzbą. Całe 13 złotych, które wtedy zarobił, poszło na maści. Potem poszedł do wojska, a kiedy wrócił, to był 1937 rok; rafinerię częściowo uruchomiali. Znajomy majster postarał się dla niego o wyjazd na siedmiodniowy kurs do huty „Pokój”, gdzie zdał egzamin spawalniczy. Wrócił tedy już jako samodzielny spawacz i zaczął zarabiać; zarabiać, śmiech powiedzieć — 15 złotych tygodniowo.

— I teraz jestem spawaczem — powiada Cyntler — tak jak kiedyś. Tylko że teraz żyję jak człowiek. Mówiłem, że zarabiałem 15 złotych tygodniowo. A teraz ja, proszę was, zapisałem się w rafinerii na motocykl. Co — stać mnie na to! Przyjdzie niedziela, załaduję żonę na siodełko, Marysię przed siebie na bak — tu rozsiadł się okrakiem na krześle już demonstrując, uśmiechnięty, swą przyszłą wizję motocyklisty — i na spacer, za miasto. Albo patrzcie — radio. Wcale go na raty nie kupowałem, gotówką, też mnie stać było.

Chłubi się zawartością szafy:

— Jeden garnitur, drugi, trzeci, jesionka z czystej „setki”. Gdzie to ja kiedyś mogłem tak chodzić ubrany?

W podnieceniu zostawia szafę niedomkniętą i wraca do stołu.

— Rząd opiekuje się robotnikiem jak należy. Pewnie, pracować trzeba porządnie, lenić się nie można, ale jestem wynagradzany jak człowiek. Kiedyś, choć też byłem fachowcem, to w czasie bezrobocia i kamieniu tłukłem, i piasek nosiłem na budowie. Rozumiecie — jako fachowiec. A dziś to w całym mieście dopytują się o Cyntlera i proszą w dyrekcji: nie mógłby Cyntler zespawać nam tego albo owego. Bo ja, prawdę mówiąc, nawet spawać porządnie to też się dopiero teraz, dzięki ludowej władzy, nauczyłem.

Okazuje się, że siedmiodniowy kurs przed wojną niewiele dał Cyntlerowi. Po wyzwoleniu rafineria ruszyła natychmiast. Przybywały na dział spawalniczy różnego rodzaju elektrody, a Cyntler zauważył, że nawet nie wie, do jakich one są zdadne materiałów. Za każdym razem trzeba było do majstra albo do technika ganiać. To zabierało mnóstwo czasu i w ogóle drażniło Cyntlera, że tak mało umie. Kiedy raz wygadał się z tego przed kierownikiem Januszem, ten go od razu skierował na kurs. Cyntler pojechał na kurs do Gliwic. Świadectwo, które stamtąd przywiozł, stwierdza, że Jan Cyntler zdał egzaminy z materiałoznawstwa, stopów elektrodowych, historii rozwoju spawalnictwa, techniki spawania, podstaw elektrotechniki. I na dobrą sprawę, teraz dopiero poczuł się spawaczem w pełnym tego słowa znaczeniu.

— Lepiej u nas uczą ludzi — powiada — i dopiero po tej nauce tak pracowałem, że w 1953 roku otrzymałem odznak „Przodownika Pracy”. Żona nie chciała wprost wierzyć, bo kto to kiedyś robotnika nagradzał, odznaczał... A teraz, nie mówiąc już o tym, że zarabiam tak, że na nic sobie nie muszę skąpić, to jeszcze jest opieka na każdym kroku. Choćby to mieszkanie...

To właśnie mieszkanie, w którym rozmawiamy, otrzymał Jan Cyntler od rafinerii zaraz po wyzwoleniu. Dawniej mieszkali z żoną w pokoiku, co miał może trzy na trzy metry. A po wyzwoleniu, kiedy rafineria stawiać zaczęła nowe domy, Cyntlerowie od razu w jednym z nich zamieszkali. Pokój na piętrze, pokój z kuchnią na dole, przedpokój, korytarz. A jeszcze obok domu mała działka na jarzyny lub kwiaty.

— Co by tu wam jeszcze, towarzyszu, opowiedzieć o tych dziesięciu latach — zastanawia się nagle Cyntler — bo ja tak nie po porządku, wszystko na raz. Ale właściwie to wszystko, co tu widzicie, to wszystko tylko dzięki nowym porządkom. Stare są tylko wspomnienia, niewesołe, ponure, tyle właśnie po dawnych czasach zostało. Moja matka, staruszka już, mieszka daleko w Niegłowicach. Odwiedzam ją czasami i wtedy pyta się o wnuka: jak tam, powiada, Bolek, oddałeś go już do roboty? A ja oczy na matkę wytrzeszczam — przecież Boluś ma dopiero czternaście lat. A i staruszka jest zdziwiona, bo niby jak ja tyle lat miałem, co mój syn, to już wyszedłem z domu pracować na siebie. Nie, nie — powiadam wtedy do matki — Boluś nie będzie tak jak ojciec tłukł kamienie na drodze. Zechce — będzie inżynierem, zechce — zostanie lotnikiem, czy ja tam wiem czym jeszcze. To pewne, że na co tylko będzie miał ochotę. Matka już teraz wierzy, ale jeszcze parę lat temu jak jej powiedziano, że Jan Myśliwiec został dyrektorem rafinerii, to przeżegnała się: w imię ojca i syna, powiada, który?! Ten Jan ósmy? Świat się do góry nogami przewrócił. „Ta-ak, powiadam jej, dopiero teraz właśnie na nogi świat stanął”.

Pomalu rozmowa dobiegała końca. Dzieci Cyntlera: Bolek i Marysia przykucnęły na kanapce i słuchały słów ojca. Okazywało się, że były kiedyś czasy, gdy rafineria stała pusta — dziwne. Okazywało się, że tatuś z mamusią wcale nie mieszkali w tym mieszkaniu, że ojciec tłukł kamienie. Dziwne! Co ma wspólnego spawacz acetylenowy z kamieniami? Okazywało się jeszcze, że to bardzo dziwna rzecz, że pan Jan Myśliwiec, którego nieraz widzą, jak pędzi samochodem do miasta, jest dyrektorem rafinerii. Dlaczego to ma być dziwne — mówią zdumione miny małych Cyntlerów. Przecież to zupełnie naturalne. Czy mogłoby być inaczej?

JERZY JANICKI



Cyntler kupuje sobie motocykl. Bolkowi na razie najzupełniej wystarcza piękny rower, jaki dostał od ojca



Jan Cyntler — najlepszy spawacz w swojej rafinerii Jest się w co ubrać: szafa Cyntlera jest pełna

Przyjemnie się mieszka w przestronnym, jasnym domu. Widać to zresztą po minach obu kobiet: matki i córki



GŁOS MILIONÓW NIEMCÓW

ROMAN SZYDŁOWSKI

Korespondencja własna „ŚWIATA” z Berlina

Z PARASU kawiarni „Warszawa” w Berlinie rozciąga się piękny widok na dumę stolicy nowych Niemiec — Aleję Stalina. Jeszcze rok temu stało tu niewiele gotowych domów. Wszędzie widać było rusztowania, ulica była dopiero w budowie.

Dzisiaj oko z trudem dostrzega koniec wielkiej magistrali. Wysokie gmachy, w których mieszkają przodujący robotnicy i inteligencja Berlina, piękne, duże, doskonale zaopatrzone sklepy, zieleni kwiatników i drzew — to wszystko tchnie pogodą, spokojem, radością.

Dobiega końca upalny czerwcowy dzień. Przy stolikach ustawionych tuż obok parkietu siedzą uśmiechnięci, zadowoleni ludzie. Orkiestra gra, co chwilę podnosi się od stolika chłopiec i dziewczyna, by zatańczyć. Nastrój pełen ufności w przyszłość udziela się tu każdemu.

Przy stoliku siedzi ze mną młoda Niemka. Jej ojciec i narzeczony zginęli na wojnie. Takich jak ona są w Niemczech miliony. Stracili na wojnie najbliższych, dom, rodzinę. Lecz na tym nie kończą się ich cierpienia. Siostra mojej rozmówczyni przeżyła niedawno nową tragedię. Przed dwoma laty wyszła za mąż. Ma dziecko, żyła szczęśliwie z mężem. I oto pewnego dnia, zniechęcony możliwością lepszego zarobku i militarystyczną propagandą, zaciągnął się do francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Nie on pierwszy i nie ostatni. Ślad po nim zaginął. I znowu została samotna kobieta z dzieckiem, jedna z wielu, które odczuły skutki wojny i wojennej propagandy. Nie wiadomo, czy mąż jej zginął w Wietnamie, czy też po dziś dzień morduje bohaterów bojowników, walczących o wolność swej ojczyzny w Azji czy w Afryce. Jedno jest pewne: ten człowiek nie wróci już nigdy do swej rodziny.

Na próbie w jednym z czołowych teatrów Berlina można zobaczyć przedziwny widok. Jeden z wybitniejszych śpiewaków ma zamiast nogi protezę. Pokonał ogromnym wysiłkiem woli swe kalectwo. Gra, śpiewa, występuje na scenie. Jego kolega ma strząskane prawe ramię, a trzem chórzystom protezy zastępują ręce.

Cały Berlin żyje wielką sprawą głosowania ludowego, plebiscytu, którego wyniki stwierdzają wyraźnie: naród niemiecki opowiada się za traktatem pokojowym i wycofaniem wojsk okupacyjnych.

Z murów Berlina nawiązują do głosowania za pokojem liczne hasła i plakaty. Migają na ulicach niebieskie koszule młodzieży z FDJ, która rozdaje ulotki. W lokalach głosowania ludowego berlińczycy i mieszkańcy całej NRD opowiadają się za pokojem. Na wielkim dworcu przy Friedrichstrasse w Berlinie i na innych dworcach NRD tablice i megafony informują podróżnych, że ci, którzy są w drodze, poza domem, mogą oddać swe głosy w specjalnym lokalu

wyborczym, zorganizowanym tu po to, aby żaden głos nie przepadł.

Prasa niemiecka publikuje liczne wypowiedzi w sprawie głosowania ludowego. Mówią prosi ludzie, których są miliony. Oto np. Helmuth Lehmann stwierdza: „Okrucieństwa wojny odczułem na własnej skórze. Zostałem ciężko ranny. Moi rodzice stracili dom i cały swój dobytek. Obie moje siostry zabito w czasie bombardowania... Nie chcemy więcej życia w schronach, nie chcemy niszczenia bezcennych wartości kulturalnych”.

Ingeborg Schechuber z Cottbus pisze:

„Ostatnia wojna zabrała mi ojca i przyniosła nędzę całej naszej rodzinie. Nic mogę zrozumieć, że są jeszcze ludzie, którzy chcieliby zniszczyć nasze plany przyszłości przez nową wojnę”.

Zabierają głos pisarze i artyści, aktorzy, malarze, muzycy. Kierownik budowy jednego z najpiękniejszych zabytków niemieckiej architektury drezdeńskiego Zwingeru, inż. Fritz Sittner, pisze: „Drezdeński Zwinger, który ma światową sławę jako jeden z najpiękniejszych zabytków kultury niemieckiej, został w czasie drugiej wojny światowej zbombardowa-

ny przez Amerykanów. Z 600 figur kamiennych — 450 uległo poważnemu uszkodzeniu. Dzięki pomocy naszego rządu, który przeznaczył na ten cel 8 milionów marek, przy aktywnym współudziale ludności Drezna, mogliśmy w ostatnich latach znacznie posunąć naprzód odbudowę Zwingeru. Możemy kontynuować naszą pracę tylko w warunkach pokoju. I dlatego również głosuję za pokojem, przeciw Europejskiej Wspólnocie Obronnej”.

Wrogowie nie mogli przeciwstawić argumentom partii i ludowego państwa żadnych realnych kontrargumentów. Nie próbują nawet agitować za EVG. Uciekają się jedynie do bagatelizowania głosowania ludowego twierdząc, że udział w nim nie ma żadnego znaczenia. Znamy te metody z czasów, kiedy zbieraliśmy podpisy pod Apelu Sztokholmskim czy pod wezwaniem o zawarcie Paktu Pokoju. Ale i na te próby dywersji odpowiada szybko i skutecznie prasa NRD. W rocznicę wybuchu wojny w Korei przypomina „Neues Deutschland” jak ogromne znaczenie miał dla okiełznania amerykańskich agresorów nacisk opinii publicznej całego świata. Odpowiedź na pytanie: „Co możesz zrobić dla zapobieżenia układowi o Europejskiej Wspólnocie Obronnej?” kończy gazeta: „Widzisz, ile znaczy Twój głos, jeśli wypowiedzisz się przeciw Europejskiej Wspólnocie Obronnej, przeciw trwaniu okupacji, za traktatem pokojowym”.

Głos Niemiec znaczy rzeczywiście bardzo wiele. Tym więcej, że słychać go nie tylko z NRD, lecz również z Niemiec zachodnich. I tam w ciężkich warunkach walki przeciw terrorowi neofaszyzmu Adenauera odbywa się plebiscyt przeciw armii europejskiej, za pokojem. Na licznych zebraniach wypowiadają się robotnicy zachodnich Niemiec. Lecz głosują oni nie tylko w ten sposób. Oto zwycięsko zakończył się w zachodnim Berlinie wielki strajk metalowców, który przeraził nie na żarty zachodnich okupantów Niemiec. Burżuazyjna gazeta „Der Tages-



NOWOWYBUDOWANA PIĘKNA NOWOCZESNA ALEJA IM. STALINA WE WSCHODNIM BERLINIE (NRD)



spiegel" poświęciła tej sprawie czołową zatyłowaną „Poważny konflikt socjalno-polityczny w Berlinie” i artykuł wstępny pt. „Niebezpieczna gra”. Pełne lęków informacje i zdania artykułu wstępnego mówią wyraźnie o obawie przed strajkiem generalnym i grozą robotnikom lokautem i redukcjami. Nie da się ukryć, że w NRD rośnie stale stopa życiowa ludzi pracy, a w Niemczech zachodnich położenie ich pogarsza się, ceny idą w górę, zaostrza się wyzysk, narasta nowa fala strajków. Setki i tysiące robotników zachodniego Berlina głosowały za traktatem pokojowym, przeciw armii europejskiej.

Porażki agresywnej polityki amerykańskiej w Genewie, New Delhi i w Paryżu, sukcesy polityki pokoju, którą reprezentują Mołotow, Czou En-lai i Nehru, odbiły się głośnym echem w całych Niemczech i dotarły nawet do uszu zachodnio-niemieckich polityków burżuazyjnych. Coraz częściej słychać zza Łaby głosy krytyki pod adresem polityki zagranicznej Adenauera, głosy wypowiadające się za pokojem, za współpracą ekonomiczną i kulturalną z NRD, z całym obozem pokoju.

W walce o pokój bierze aktywny udział cały front kulturalny. Liczne przedstawienia w berlińskich teatrach oświetlają właśnie teraz ten palący problem dnia. Nadal cieszy się ogromnym powodzeniem i wywiera wielki wpływ antywojenna „Mutter Courage” Brechta i niedawno wystawione po raz pierwszy przez teatr „Berliner Ensemble” jego „Kaukaskie koło kredowe”. Deutsches Theater gra rewolucyjną sztukę Fryderyka Wolfa „Tomasz Münzer”. Teatr „Volksbühne” inscenizuje nową sztukę Heddy Zinner pt. „Der Teufelskreis” („Piekielny krąg”), która opowiada o procesie Dymitrowa i ukazuje genealogię hitlerizmu, przypomina, do czego doprowadził on Niemcy, ostrzega przed neofaszyzmem, przed chwiejnością i zdradą socjaldemokracji.

Wybitny pisarz niemiecki Willi Breidel ogłosił w „Neues Deutschland” artykuł, w którym stwierdza:

„Oto leżą książki pisarzy NRD. Arnold Zweig, Johannes R. Becher, Bert Brecht i Ludwig Renn pisali już o pierwszej wojnie światowej, inni pisali o walce o wolność narodu hiszpańskiego i o drugiej wojnie światowej. Tendencją każdej książki naszych pisarzy jest walka o pokój, obrona pokoju. My, demokratyczni pisarze niemieccy, mówiliśmy zawsze naszemu narodowi: słuchajcie głosu Waszych poetów i pisarzy! Nie pomijajcie żadnej sposobności, aby przeciwstawić się podżegaczom wojennym, którzy chcą wywołać trzecią wojnę! Róbcie wszystko, aby wzmocnić obejmujący cały świat ruch obrońców pokoju, aby uratować pokój dla ludzkości na wszystkich szerokościach geograficznych! Nie dopuście do tego, aby to wszystko, co z takim trudem i wśród wielkich ofiar odbudowaliśmy z gruzów drugiej wojny światowej — padło znowu łupem bezmyślnego zniszczenia!”

Coraz więcej Niemców rozumie, jak ogromne znaczenie ma dla pokoju światowego demokratyczne rozwiązanie sprawy niemieckiej i jak ogromna rola przypada narodowi niemieckiemu w walce o jego utrwalenie i umocnienie. W foyer Deutsches Theater można przeczytać na niebieskiej tablicy historyczne ostrzeżenie Bertolda Brechta wystosowane w jego słynnym liście otwartym do niemieckich artystów i pisarzy: „Wielka Kartagina prowadziła 3 wojny. Była jeszcze silna po pierwszej, zamieszkała po drugiej. Nie można jej było więcej znaleźć po trzeciej”. Coraz więcej Niemców rozumie głęboki sens tych słów. Wyniki głosowania ludowego świadczą o tym wyraźnie.

Przed dwunastu laty siedziałem w hitlerowskim więzieniu. Faszystowski okupant mordował moich bliskich. Dziś siedzę z niemieckimi towarzyszami i przyjaciółmi w berlińskiej kawiarni. I my i oni wiemy dobrze, że od naszej wspólnej walki zależy, czy uśmiechnięte oczy oglądać będą w przyszłości coraz więcej jasnych domów w Berlinie i w Warszawie, przy Alei Stalina i na MDM-ie. Od nas samych zależy, by nigdy więcej ludzie w naszych krajach nie umierali w faszystowskich katowniach i nie gineli od faszystowskich kul. Coraz aktywniej toczą walkę o pokój nasi przyjaciele zza Odry i Nysy. Jesteśmy z nimi w tej walce, w której zmagania idą o przyszłość i szczęście ludzkości, przeciw zagładzie i zniszczeniu, o radosny i beztroski uśmiech dziecka nad Wisłą i nad Łabą, nad Odrą i nad Szprewą, nad Wartą i nad Menem.



Ręczny granat, drewniany automat — dla dzieci koreańskich rzeczy dobrze znane



Dzieci koreańskie oswoiły się z bronią tak jak inne — z zabawkami...

JEDENASCIE MIESIĘCY W KOREI

(6)

Fotoreportaż własny „Świata”

TEKST I ZDJĘCIA: ANDRZEJ BRAUN

NIEZAPOMNIANE dni wojennego Phenianu. Pamiętam, że dopóki nie znalazłem się w tym mieście, nie potrafiłem go sobie w ogóle wyobrazić. Nasuwały się uparcie jakieś analogie ze zburzoną Warszawą. Widziałem przecież spustoszone miasta w Europie... A jednak mimo pozorne podobieństwa obraz Phenianu był zupełnie inny. Kiedyś musiało to być piękne miasto. Rozległe, położone na wzgórzach wzdłuż szeroko rozlanej, ogromnej rzeki Tetongan, z malowniczym zielonym grzbieciem góry Maranbon w centrum, otoczone wokół tysiami, trawiastymi szczytami. Od strony rzeki pozostały szczyt pięknej ongi bulwaru z resztkami starożytnych pagod, wśród nich zabytkowa biała z historycznym dzwonem Tetong-ni. W południowo-zachodniej części miasta leżała tzw. dzielnica japońska, najstarsza część dawnego Phenianu. Ona jedna jeszcze przypominała zburzone europejskie miasta czy naszą Warszawę z roku 1945. Tutaj mieściły się kiedyś kamienne gmachy japońskich banków i policji, jedyne murowane budynki w mieście. Sterczały teraz wypalonymi czy zburzonymi do fundamentów resztkami murów. To były zwykłe gruzy, podobne do naszych. Reszta miasta — zwykłe koreańskie domki z gliny, drzewa i papieru — wszystko to zmiełone było na proch, rozsypane od samych podmuchów. I to stwarzało obraz takiej pustyni, jakiej w Europie nie znajdziesz. W tym prochu gnieździły się setki tysięcy ludzi w prowizorycznych norach w ziemi, nakrytych strzępami desek, latem zarosniętych zieliskiem kukurydzy i gaolianu. Urzędy i instytucje mieściły się w skałach, głęboko w ziemi. Zbliżając się do koreańskiej stolicy mijalem góry, podziurawione jak kretowisko otworami schronów. Tam znalazła się większość przeniesionych z miasta instytucji, magazynów, zakładów.

Wśród płataniny dróg i lepiarek, na żółtym, gliniastym gruncie górowały wypalonymi murami dawny, piękny ongi, gmach Uniwersytetu im. Kim Ir-sena. Potem wjeżdżało się w zatłoczone tłumem ludzkim uliczki wśród bud i ruder mieszkalnych.

Za Maranbonem, gdzie mieścił się w skałę wykuty podziemny teatr i podziemna drukarnia gazety partyjnej, wjeżdżało się na główną ulicę (obecnie ul. Stalina), wśród pustyni gruzów i rzędu straganów. Tam znajdował się wielki podziemny bazar. Wszędzie wśród łajów gnieździł się ludźmi. Zatlóczenie i ruch ogromny. A jednocześnie dzień i noc huczała artyleria, padały z nieba bomby. Po drugiej stronie, za rzeką rozciągała się dawna dzielnica fabryczno-przemysłowa. Tam już nie mieszkał prawie nikt.



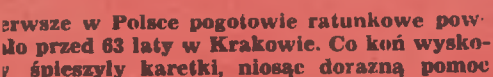
Codzienna melodia — szum samolotów. Codzienny widok — gruz, płomień, śmierć. Nieszczęśliwe dzieci Phenianu niewiele wiedziały, co to jest dzieciństwo



Pennik studentki u wejścia do spalonego gmachu uniwersytetu im. Kim Ir-sena

Wszędzie wśród gruzów, w norach nakrytych resztkami desek, w prowizorycznych lepiankach, gnieździł się ludźmi...





Zdjęcia: W. SŁAWNY

się wtedy, że chory po 5 godzinach męczenia na nieresorowanym wozie zjawiał się w szpitalu w stanie, który wykluczał już wszelką pomoc. A ile razy woźnica zwracał z drogi i jechał do większej kosznicy.

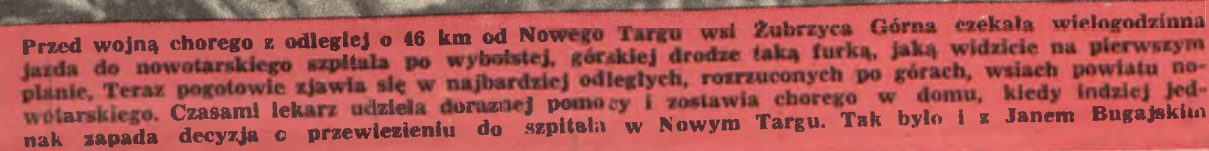
— Każdy wie, że w nagłym wypadku zachorowania różnica między godzinny czwartym na pierwszą pomoc i jazdą wygodną karetą do szpitala — a pięciogodzinny czekaniem na roztrzęsionym wozie — przesądza niemal zawsze o szansie człowieka w walce ze śmiercią.

W ubiegłym tygodniu znowu dzwonił liwie dzwonił alarmowe we wszystkich czełach nowotarskiej stacji pogotowia woj. Wprawia je w ruch dyspozytorzy jaca — jak zresztą wszystkie służby w takich stacjach pogotowia w całej Polsce cała dobie: od 0 do 24. Odezwali się w garażu, gdzie kierowa Walenty Su puścił motor swojej „Skody”. Inny dzwo wał się w pokoju doktora Świrskiego, a nie zbiegł po schodach noszowy. Cała szła w drogę. Kierunek: znowu Zubrzy Górną. W ślad za nimi śpieszyli reporterzy „Świ ta” jeżdżący przez dwie doby wraz z pogotowia rzuconych nowotarskich wsi. Na skrajno kano już na karetkę. Okazało się, że za moc znowu Jan Bugajski, który przy brudził porażoną podczas pamiętnego piornem stope. Wdało się zakażenie.

Nie minęły jeszcze trzy godziny od momentu wezwania, kiedy Jan Bugajski, pogrążony w narcozie, leżał na stole operacyjnym nowotarskiego szpitala.

Cała ta sprawa zaczęła się właściwie 6 czerwca 1891 roku, kiedy to po raz pierwszy w Polsce wyjechała karetka pogotowia. Spiesząc do końca wy- skoczy ulicami Krakowa do człowieka czekającego na pomoc. Przez następne lata rosła sieć stacji pogotowia w miastach polskich. Istniały one w każdym większym mieście – ale były to dawniej instytucje dobroczynne, żyjące z jałmużny, albo też prywatne, nastawione na zysk. Na wie- karetki pogotowia nie docierały prawie nigdy. W 1896, czyli w 63 lata od założenia krakowskiego po- gotowia, w powiatowym mieście Dąbrowa Tarnowa skąd otwarto stację pogotowia ratunkowego. Wy- darzenie to, które uszło może uwadze większości z nas, jest jednak bardzo znamienne. Dąbrowa Tarnowska była bowiem ostatnim miastem powiatowym województwa krakowskiego, które nie mia- ło dotąd takiej stacji. Ta likwidacja białych pla- na mapie doraźnej pomocy w naszym kraju trwa nieprzerwanie. Ofensywa karetek z nie- Czerwonego Krzyża skierowana jest teraz głów- nie na wieś, która – wg pobieżnych oblicze- korzysta obecnie z 70% usług pogo- na ratu- kowego.

Zakres tych usług stale rośnie. Mako kto wie, że „Pafawag” stosuje w budowanych przez tę fabrykę wagonach stopnie z metalowej siatki własnej produkcji... pogotowiu ratunkowemu, którego praca nie ogranicza się teraz do samej pomocy w nagłym wypadku. Pogotowie stara się także odpowiedzieć na pytanie: co spowodowało wypadek? Ustalono więc, że oblodzenie stopni wagonów — co jest przyczyną wielu ciężkich wypadków — daje się najłatwiej we znaki właśnie przy stopniach z siatki. Fabryka karoserii autobusowych stosuje — na wniosek pogotowia — drabniki łamane, wiódące na dach wozów, gdyż dawniej było wiele wypadków z dziećmi czepiającymi się drabinek, sięgających niemal ziemi. Dr Jerzy Falewski, dyrektor Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego w Krakowie, pokazywał mi ze słuszną dumą prace w dziedzinie profilaktyki. Po każdym wypadku specjalna komórka studiuje przyczyny i domaga się od odpowiedzialnych za istniejący stan rzeczy — dyrekcji fabryki czy odpowiedniego wydziału



Dzięki pogotowiu Jan Bugajski z góralskiej chaty (zdjęcie w lewym dolnym rogu) znalazł się szybko na stole operacyjnym nowotarskiego szpitala, gdzie go operowano. Dawniej niewiele miał szans na przeżycie chory ze wsi, wymagający szybkiej pomocy

BYŁO to tak. W pięć dni po ślubie wracał po okopywaniu ziemniaków do swej chaty we wsi Zubrzycza Górna w powiecie nowotararskim 51-letni Jan Bugajski. Razem z nim szła jego żona i pasierbica. Przyspieszyli kroku, gdyż nadciągała burza. Piorun poraził wszystkich troje nim doszli do wsi, zabijając na miejscu Bugajską i raniąc jej 16-letnią córkę. Sam Bugajski został oszołomiony i stoczył się ze stromego zbocza górskiego, raniąc stopy. Ze wsi pobiegł zaraz chłopak do agencji pocztowej, której kierownik zaalarmował stację pogotowia ratunkowego w Nowym Targu. W dwie minuty później mała karetka „Skoda” podskakiwała po straszliwych wybojach górskiej drogi, lykając łapczywie jeden po drugim 46 km dzielących Zubrzycza Górna od Nowego Targu. Po godzinie lekarz był już na miejscu. Noszowy otworzył przed nim walizkę z zestawem potrzebnych do żywej pomocy leków i zaczęła się walka o doraźne pasierbicy Bugajskiego. Walka ta została wygrana nie tylko dzięki temu, że na miejsce przybył lekarz, ale i dlatego, że zjawili się on s z y b k o. Śmierć została pokonana przez czas. Jakby były przed wojną szanse przeżycia tej dziewczyny czy innych chorych potrzebujących szybkiej pomocy na nowotararskiej wsi?

Zubrzyca Górna znana jest szeroko ze wspaniałych, rączych koni. Chłopi tamtejsi wozili dawniej chorych wozami do nowotarskiego szpitala i właśnie dzięki tym świętym koniom, docierali do Nowego Targu w... 5 godzin. Ileż to razy zdarzało

30.163 tysiące km. przejechały w ubiegłym roku karetki pogotowia w Polsce. W powołcie nowotarskim warunki dojazdu górkami drogami są szczególnie trudne. W zasięgu działania nowotarskiej stacji pogotowia ratunkowego leży m. in. najdłuższa wieś w Polsce — Ochotnica, rozciągająca się na 24 kilometrach. W zamyśle, w słotkę czy podczas upałów — pogotowie nie może do górskich wsi

1.651 tysięcy razy zjawiało się w zeszłym roku pogotowie ratunkowe w Polsce, tam, gdzie chory czekał na doraźną pomoc lub przewiezienie do szpitala. Ambulatoria pogotowia interweniowały w 511 tysiącach wypadków. Na wyjeździe lekarz pogotowia postawiony jest samotnie wobec ważnej decyzji, która często jest sprawą życia lub śmierci. W góralskiej chałcie nie ma się z kim skonsultować, nie ma możliwości posługiwania się tymi aparatami do badań i prześwietleń, którymi rozporządzają szpitale. W Związku Radzieckim istnieje nawet specjalizacja lekarzy w doraźnej pomocy — tak jak u nas np. w polonistwie

Pogotowie zajmuje się też przewożącymi towary z Nowego Targu (wciężne zdjęcie) będzie można ustalić przyczyny obrzęku miast przystąpiono do badań i analiz, k ma ciągle jeszcze zbyt małą ilość kar

orych ze wsi. Dr Świrski przybył do góralskiej chaty karetką pogotowia. Po godzinie Jankę leży już na oddziale dziecięcym, gdzie natychmiast dysponuje nowoczesną medycyną. Nasze pogotowie ratunkowe. Odpowiednia ich liczba znakomicie ułatwiłaby lekarzom pracę.

Po takiej kłace nie przejdą nawet najbardziej doświadczeni kierownicy, zatrudnieni w nowotarskiej stacji pogotowia ratunkowego. Wielekrotnie trzeba chorego znieść po stromych górskich zboczach, przemieścić przez wodę — gdy idzie o życie, wszystkie trudności muszą być przełamane. Noszowi i kierownicy pogotowia mają przeszkolenie sanitarne i w razie konieczności asystują lekarzowi w nagłych wypadkach. Trzyosobowe zespoły muszą być gotowe do wyjazdu przez całą dobę. Minuty decydują często o skuteczności pomocy lekarskiej.



CAŁKOWITE ZACMIENIE SŁOŃCA



28 LIPCA 1851 R.

30

CZERWCA br. byliśmy świadkami nader rzadkiego i niezwykle interesującego zjawiska astronomicznego, jakim jest całkowite zaćmienie Słońca.

Przy tej okazji nie od rzeczy będzie przypomnieć wrażenia naszych pradziadków, wywołane całkowitymi zaćmieniami Słońca. Cofniemy się więc do roku 1851, kiedy to 28 lipca przeszło przez Polskę poprzednie całkowite zaćmienie. Przemówiła do nas naoczni świadkowie, poprzez dokumenty, jakie po sobie pozostawili.

„Z CIEKAWOŚCIĄ I TRWOGĄ”

Oddajemy zatem głos „Kurjerowi Warszawskiemu” z 1851 r., który na długo przed zaćmieniem i długi czas po nim publikował czy to całe artykuły, czy chociażby krótkie wzmianki na ten temat. W jednej z najwcześniejszych wzmianek, która się pojawiła w numerze 131 „K. W.” z dn. 18 maja, czytamy:

„Zupełnie podobne zaćmienie mieliśmy już w latach 1654 w miesiącu Sierpniu, 1666 w sam dzień Narodzenia N. Marii Panny, a następnie również w zeszłym stuleciu d. 24 Czerwca 1788 roku. Według ówczesnych sprawozdań oraz różnych notat, był to widok przerażający a zarazem uroczysty. Osobliwsze bowiem podczas zaćmienia całkowitego ukazują się zjawiska natury. W chwili bowiem zupełnego zakrycia Słońca, cały firmament zajaśnieje gwiazdami; w około Xiężycy zabłyśnie srebrno-błady okrag, a gdy nad głowami naszymi wszystkie planety w tej jednej chwili zmienią swoją naturę, nieminiejsza zmiana odbije się i na Ziemi. Przerażone zwierzęta opanowuje pośpepnosć, wesole ptastwo umilknie szukając schronienia, a ludzie ulegną dziwnemu wrażeniu połączonego z ciekawością i trwogą”.

6 lipca, a zatem jeszcze przed zaćmieniem, „Kurjer Warszawski” pisał: „Zjawiska tego rodzaju, jak to powiedzieliśmy dawniej, są nader rzadkie. W Londynie np. od r. 840 aż do 1715, czyli po upływie blisko wieków dziewięciu, jedno tylko zaćmienie było widziane. W Montpelier (we Francji) uważano je 1 Stycznia 1386, 7 Czerwca 1415, 12 Maja 1706 i 8 Lipca 1842 r. W Paryżu, jedno tylko całkowite zaćmienie w ciągu XVIII stulecia widziano, a to w 1704 r.”

10 sierpnia znajdujemy w tymże piśmie wspomnienia historyczne:

„W dniu 9-tym Czerwca r. 1415, temu lat 436, kiedy w Konstancji ciągnął się zaczęty przed rokiem Sobór, kiedy Mahomet I zagroził państwu Konstantyna Wielkiego, rządzonemu podówczas przez Manuela Paleologa; kiedy nareszcie Friedrich Hohenzollern wchodzi w posiadanie Brandenburskiego Elektorstwa, było całkowite zaćmienie Słońca dla Polski. Temu zaćmieniu przyglądał się król Jagiełło. Wspomnienie zaś o niem znajduje się w tomie VI str. 330 i 331 historii narodu Litewskiego przez Teodora Narbutta. „W pierwszych miesiącach r. 1415 (są słowa Narbutta), Król objeżdżał niektóre strony Polski; potem Ruś, Pokucie i Podole. W Śniatyniu na Pokucie, przyjmował Posłów Cesarza Greckiego, który będąc od Turków ciśniony, potrzebował pomocy a szczególnie zasiłku w zbożu. Spaniały Król kazał posłać z portu Podolskiego, Kaczyboj (miejsce dzisiejszej Odessy), znaczną ilość pszenicy do Konstantynopola. Z Podolskiej ziemi pojechał Król do Litwy. Przez Kobryn przybył do Myty, wsi odległej trzy mile od Lidy. W tej podróży w sobotę po okwacie Bożego Ciała (to jest 9 Czerwca r. 1415), zdarzyło się tak całkowite zaćmienie Słońca, że gwiazdy były widne na niebie jak w nocy, a ptaki z ciemnoty padały na ziemię. Król kazał zatrzymać swój pojazd i przypatrywał się z podziwieniem temu fenomenowi”.

„STRASZNE GRZMOTY I PIORUNY...”

Powróćmy teraz do interesującego nas całkowitego zaćmienia Słońca, które w dniu 28 lipca 1851 r. przeszło przez nasze ziemie. Krążyły wtedy najdziwniejsze przepowiednie: „Na kilkanaście dni przed zaćmieniem — pisze „K. W.” z dnia 3 sierpnia — obiegaly rozmaite zatrzawające wieści między wieśniakami, jako to: będzie wielkie trzęsienie ziemi, że się połowa ziemi zapadnie,

że będą straszne grzmoty i pioruny, że będzie koniec świata i Sąd Boski itd... W polityce cisza zupełna; za to wszystko dziś zaćmieniem Słońca zajmowało się, któremu pogoda bardzo sprzyjała. Pomimo dobrych broszur, artykułów, a nawet aresztowania przez policję kilku ludzi puszczających niedorzeczne postrachy, mniej oświeczone klasy ludności drżały przed tem zjawiskiem; z wiosek mnóstwo trwożliwych uciekało do miast, skąd znowu na pola wybierano się; jedni lękali się trzęsienia ziemi, drudzy wylewu wód itp.”.

Toteż na łamach „K. W.” zjawiają się pouczenia dotyczące istoty zjawiska i zmierzające do uspokojenia zdjętych lękiem umysłów. „Ponieważ dochodzą nas świeże wiadomości — czytamy w Nr 174 z dn. 6 lipca — iż pomimo ogłoszenia w tem piśmie jeszcze w miesiącu Czerwcu, o przypadającym d. 28 b.m. całkowitem zaćmieniu Słońca, nie wszyscy dotąd z okolic Królestwa mieszkancy, a mianowicie lud wiejski, wiedzą o tem zjawisku; przeto korzystając z czasu, raz jeszcze pospieszamy przypomnieć o niem, dla uwiadomienia wszystkich czy to za pośrednictwem zacnych proboszczów, czy też szanownych Obywateli ziemskich, a to dla uniknięcia wrażeń, jakie skutkiem tej nieświadomości, mogły by wyniknąć. Wiadomo bowiem, iż gdy naukę astronomji gruba pokrywała zasłona, wydarzające się w owych czasach zaćmienia, osobliwie też Słońca, uważano za oznaki zagniewania Bóstwa; rzucano się do najtwardszej pokuty, zamknięto po lochach, uciekano się do Świątyń, szukano rady kapłanów by przebiegać Bóstwo, i nie prędzej wychodzono z przerażenia, aż zakryte chwilowo światło, znowu zajaśniało na widnokręgu. I nic w tem dziwnego, bo to nagłe zniknięcie blasku w chwili gdy słońce w całym świetle jaśniejsze, nie tylko człowiekiem, ale nawet przyrodozem wstrząsa. Na dowód tego dosyć jest przytoczyć, iż gdy w r. 1560 zdarzyło się całkowite zaćmienie Słońca, które Chr. Clavius obserwował w Koimbrze, tenże dodał w swoim opisie, iż przestraszone ptastwo spadało z powietrza na ziemię. Opis ten niewątpliwie jest przesadzony, to jednak możemy powiedzieć, iż wszystko ulega zmianie i wrażeniu, i tylko mocna wiara w naukę, niszcząca poniżające przesady, zdolną jest wstrzymać nas od przypuszczeń wywołanych zaćmieniem, a dochodzących nawet aż do przypuszczeń o skończeniu świata. Ta ostatnia głównie okoliczność powoduje nami do ponownienia tej wzmianki, która nie wątpimy pomyślny odniesie skutek”.

„Pomiędzy ludem — pisze „K. W.” z dnia 10 lipca — trwa mocno wkorzone mniemanie, że w czasie zaćmienia, nie należy pod szkodą zdrowia, wychodzić z domu, pić wodę, poić bydło, wypędzać je na paszę, etc. Światło nauki przekonywa, że to wszystko są nierozsądne przesady, które gruba ciemność (ale nie zaćmienie) między ludźmi upowszechniła. Na słowo Kurjera możemy zapewnić wszystkich Czytelników i Czytelniczki nasze o bezzasadności tych mniemań. Niech każdy jeśli mu się pić zechce, w czasie zaćmienia, śmiało pije wodę, chyba że woli wino lub piwo; niech daje jeść i pić dobyt-kowi swemu, tak jakby zaćmienia wcale nie było; ale dobre gospodynie, niech siedzą w domu, a raczej niech starannie pilnują domu, aby podczas gdy ludzie ich na Słońce i Księżyc gawronić się będą, złodziej nie wlaźł do izby i nie astronomował po kantorkach i kuferkach. W tym to bowiem jedynie duchu, ową potrzebę niewychodzenia z domu, rozsądnie tłumaczyć sobie trzeba”.

POUCZENIE DLA AMATORÓW

Wobec różnorodności zainteresowań zjawiskiem zaćmienia Słońca ówczesne pisma nie ograniczały się do uspokajania zatrzwożonych umysłów, ale podawały również opisy przebiegu zaćmienia i pouczały, w jaki sposób czynić obserwacje. I tak w Nr 194 z dn. 26 lipca „K. W.” czytamy: „W d. 28 lipca r.b. przypada całkowite zaćmienie Słońca, ostatni tego rodzaju fenomen, który żyjące pokolenie w naszych stronach widzieć będzie. Fenomen ten ściśle i sumiennie obserwowany ważne rzucić może światło na odkrycia astronomiczne, a spostrzeżenia nad nim wykonanie się mogące, są dwójakiego rodzaju: 1) dla których potrzeba głębokich astronomicznych wiadomości, i wielkiej liczby narzędzi astronomicz-

nych i fizycznych; 2) zaś do czynienia których, ani specjalnego usposobienia, ani osobnych przyrządów używać nie trzeba, oprócz czarnego lub ciemnokolorowego szkła, lub poprostu szkła nad świecą okopconego. Przy czynieniu tych ostatnich, a niemniej ważnych, służyć mogą następujące rady: Uważać należy cień Xiężycowy z miejsca wznesionego, jak w chwili całkowitego zaćmienia przebiegać będzie z wielką prędkością w kierunku od p. z. do p. w. strony. Czy mieć on będzie inną barwę od cienia przez chmury np. rzuconego? Przed całkowitem, i po zaćmieniu, uważać należy barwę nieba i jej przemiany! Uważać światła tęczowe, wtedy gdy Słońca zostanie tylko bardzo wązki skrawek. Okazywać się one mają na białych murach i są tak wyraźne, że dzieci się za niemi ubiegają. Uważać świetną koronę, która otacza Xiężyc w czasie całkowitego zaćmienia. Czy mieć będzie światło spokojne czy też ruchome, podług niektórych, do ognistych podobne? Czy przedmioty blisko ścian białych położone, na nie cień rzucać będą. Najlepiej cień spostrzedz się może na szpilce wetkniętej w arkusz białego papieru, poziomo rozpięty. Czy też korona składająca się będzie z pierścieni współśrodkowych, czy też świecić będzie światłem jednostajnie stopniowo malejącem? Odkąd korona widoczna się stanie i jak długo świecić będzie? Uważać naturę roślinną, głównie wpływ malejącego światła na miarę zakrywania Słońca, przez tarczę Xiężycy, na kwiaty z kielychami w nocy zamykającymi się. Na jakiś czas przed zaćmieniem obrać miejsce w ogrodzie, któreby wystawione było na działanie promieni słonecznych między 4-tą i 5-tą godziną po południu; i mieć dostateczną ilość kwiatów rozmaitego rodzaju w nocy zamykających się. Poprzednie obserwacje żadnego specjalnego usposobienia, ani też narzędzi nie wymagają, dostępne dla każdego, mogą jednak ważne rzucić światło na tajniki natury, gdy sumienny opis nie ubarwiony dodatkami wyobraźni, nada im wartość prawdziwej nauki. Wynika samo z siebie, że na rzetelnosć obserwacji czynionych korzystnie wpłynęłyby musiały, gdyby je czyniło dwie lub trzy osoby, rozdziela-jące tę czynność stosownie do przedmiotu, pomiędzy siebie”.

PUSTKI NA GIEŁDZIE

W miarę zbliżania się do momentu zaćmienia zainteresowanie tym zjawiskiem wzrastało z dnia na dzień, obejmując coraz szersze kręgi społeczeństwa i coraz szerszy zakres zagadnień. O wielkości zainteresowania świadczy następujące wzmianki, zamieszczone w „Kurjerze Warszawskim”: „W dzień zaś 28 z. m. dla wszystkich ciekawych, wszelkie interesa zawieszone, giełda pusta, zapomniano o wexlach, talerach i diskontach, o stałkach czekających w porcie na ładunek pszenicy i drzewa; kursa nawet giełdy ustąpiły miejsca tabliczkom zaćmienia, ono wyłącznie na ustach wszystkich, bo fenomen, rzad- szy od okrętów, giełdy i towarów, owaładnął umysłami stanu handlującego”. (Nr 205 z dnia 6 sierpnia). „Obecni w ogrodzie domu Nro 2322 przy ulicy Dzikiej, przy czynieniu Słońca, zebrawszy rs 3, złożyli takowe w Redakcji Kurjera dla Instytutu Ociemniałych w Warszawie, jako dla nieszczęśliwych pozbawionych wzroku, a nie mogących podziwiać wielkość Stwórcy i natury...” (Nr 198 z dnia 30 lipca). „Spieszmy uprzedzić wszystkich wogóle, tak łaskawych Korrespondentów jako i szanownych Czytelników naszych, iż wszelkie nadsyłane nam



Rys. A. Perzyk

przez nich pod każdym względem spostrzeżenia, nie tylko podczas samego zaćmienia w d. 28 b. m., ale przed i po nim, z wdzięcznością przyjmowane i ogłaszane w piśmie naszym będą". (Nr 171 z dnia 3 lipca).

WSZYSTKO ZJEŚĆ PRZED ZAĆMIENIEM

W tym powszechnym zainteresowaniu nie brakowało również momentów humorystycznych:

„...jakiś żartowniś zapewniał, że w czasie zaćmienia wszystkie młode dziewczęta postarzeją się nagle, co nie miały sprawiło popłoch. Izraelita dzierżawca owocu w ogrodzie dworskim, z całą swą rodziną był także w wielkiej obawie. Zapytałem go, czy się boi zaćmienia; odpowiedział mi: „Jak się tu Panie nie bać, kiedy się i nasi Rabini boją?” Nie zbywało też i na projektach; i tak dworski chłopak, pastuszek trzody chlewnej, podał wniosek, ażeby przed zaćmieniem, wszystko, co jest najlepsze, pozjadać”. („K. W.” z dnia 3 sierpnia).

Kursowały również anegdoty:

„We dwie godziny po zaćmieniu Słońca, chłopak rozsławiający szkielka do obserwacji, częstował niemi jakiegoś Jegomościa, przechodzącego Krakowskim Przedmieściem. „A cóż mi po nich”, rzekł tenże, „kiedy już po zaćmieniu?” „To nic”, odrzekł chłopak, „zda się na przyszłość”. „Dobrze więc”, dodał Jegomość, „przyjedźże do mnie za 200 lat, to wszystko kupię”. („K. W.” z dnia 31 lipca).

„Dziś rano lichwiarz spotkał swojego kredytora i zapytał: „Panie, kiedy ja odbiorę moją należność?” „Ej daj mi pokój”, odrzekł, „dziś zaćmienie Słońca, nie mogę o tem myśleć”. „Jakto?”, zawołał lichwiarz, „Czy Pan przy zaćmieniu nie możesz zobaczyć, że ja jestem uczciwym człowiekiem?” „Wybacz mi, ale nawet przy czystym Słońcu nigdy tego nie spostrzegłem”. („K. W.” z dnia 28 lipca).

CO WIDZIELI ASTRONOMOWIE

Zaraz po zaćmieniu zaczęły napływać do pism opisy spostrzeżeń, dokonanych w czasie zaćmienia.

Obszerne sprawozdanie Stanisława Przysiańskiego z obserwacji przeprowadzonych przez ekspedycję w Wysokim Mazowieckim opublikowane było w Bibliotece Warszawskiej — tom III, r. 1851. Bardziej treściwe sprawozdanie Adama Prażmowskiego, kierownika tej ekspedycji, podał „K. W.” w dniu 24 sierpnia. W sprawozdaniu tym między innymi czytamy: „Po zgaśnięciu ostatniego promienia Słonecznego, tarczę Księżyca oblała świetna atmosfera, którą jednak jako zupełnie okrągłą i my widzieliśmy z promieniami. Światło jej badano za pomocą narzędzi polariskopami zwanych, okazało charakterystyczne odbicie... Ta jasna korona, zdaje się być atmosferą otaczającą Słońce i przez niego oświeconą. Olbrzymia ta atmosfera rozciąga się zapewne nierównie daleko,

Dalszy ciąg na str. 22

KURJER WARSZAWSKI.

D. 28. Lipca. — Rok 1851.
Poniedziałek.

№ 196.

Jutro, Śś. Marty i Serafiny.

wielkiego upadku.

Dla dopełnienia wiadomości podawanych przez nas o wielkim zaćmieniu Słońca, przypadającym od jutra za tydzień, wskażemy jeszcze ważniejsze punkta, z których amatorowie astronomji w Warszawie, będą mogli najdogodniej czynić swe obserwacje. Pierwszeństwem pod tym względem mają miejsca otwarte, dające widok na drzewa, wodę i ściany gmachów, białe pomalowane, takimi są: Zjazd obok Zamku, place: Saski i Krasiański, droga Jerozolimska, place przed dworcem kolei żelaznej, a szczególnie most na Wiśle i Praga, z kąd za jednym pociągiem oka, cała panorama Warszawy wraz z Wisłą i Saską Ręką uroczy będzie przedstawiać obraz, gdyż tu najobszerniej widzieć będzie można ową zmianę i grę kolorów, co zaćmienie słoneczne, tak zajmującym pod względem optycznym czyni.

Wielka maszyna parowa sprowadzona z Berlina, dla zakładów fabrycznych Piotra Strankelera na Solcu, o której przybyciu i odbywanych próbach donosiliśmy, jutro o d. 14 b. m. ze wszystkimi smia zasami kamieniami, dwoma pytlami i urządzonemi przy młynie zakładami, jako to: olejarnią, furniarnią, tartakami, heblarnią

my... z zewnątrz...; Zmianę...
cznych przypuszczeń, uzbrojmy się poprostu w okopane szkiełka, zamiast krycia się, (jak to wielu bez względu na śmiechność, zamierza jutro uczynić); obieramy sobie dogodne miejsce, dla przyjrzenia się temu zjawisku, którego już całe dzisiejsze pokolenie, pewno więcej nie ujrzy. Według wskazanych przez nas informacji w wczorajszym Numerze, niech każdy z ciekawszych, zechce sobie obrać ten lub ów przedmiot dla obserwowania, a po ukończeniu zaćmienia, tego samego wieczora otworzymy z wdzięcznością tak podwoje Redakcji naszej, jakoteż i kolumny niniejszego pisma, dla jego opatrzenia.

Jutro, o godzinie 3ej m. 44, po południu, zacznie się wielkie zaćmienie Słońca; środek zaćmienia o godzinie 4 m. 46, a koniec o godz: 5 m. 44, przypadają. Ponieważ zamierzone przez P. Piha Optyka m. Warszawy, wystawienie teleskopów, okazało się niepraktyczne, przeto zamiar ten do skutku nie przyjdzie. Dodać tu winniśmy, iż nie możemy pojąć, z kąd i dla czego szerzą się jeszcze między niektórymi osobami przypuszczenia różnych, z powodu tego zaćmienia, przerażeń, tłumaczących to zjawisko jako karę niebios. Wszak codziennie spoglądamy na wschód i na zachód Słońca. I nie tylko

Warszawę, bawłobecnie...; Z kąd za dni...
w dalszą udaje się podróz.

Pomiędzy ludem trwa mocno wkorzenione mniemanie, że w czasie zaćmienia, nie należy pod szkodą zdrowia, wychodzić z domu, pić wodę, poić bydło, wypędzać je na paszę, etc. Światło nauki przekonywa, że to wszystko są nierozumne przesady, które gruba ciemność (ale nie zaćmienia) pomiędzy ludźmi upowszechniła. Na słowo Kurjera możemy zapewnić wszystkich Czytelników i Czytelniczki nasze o bezzasadności tych mniemań. Niech więc każdy jeśli mu się pić zechce, w czasie zaćmienia, śmiało pije wodę, chyba że woli wino lub piwo; niech daje jeść i pić dobytce swojemu, tak jakby zaćmienia wcale nie było; ale dobre gospodynie, niech siedzą w domu, a raczej niech starannie pilnują domu, aby podczas gdy ludzie ich na Słońce i Księżycę gawronić się będą, złodziej nie wlaźł do izby, i nie astronomował po kantorkach i kuferkach. W tym to bowiem jedynie dochu, ową potrzebę niewychodzenia z domu, rozsądnie tłumaczyć sobie trzeba.

Wiegarnia R. Friedleina przy ulicy Senatorskiej, o...

„Kurjer Warszawski” w roku 1851 obszernie informował swych czytelników o sprawach całkowitego zaćmienia Słońca, które było widoczne na ziemiach polskich 28 lipca. Powyżej: wyjątki z notatek i artykułów



FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

DZIESIĄTA MATURA

128 młodych nauczycielek i nauczycieli, którzy już w nadchodzącym roku szkolnym rozpoczną pracę — to płoną gorąco — dziesiątej po wyzwoleniu — matury w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Lesnej Podlaskiej (pow. Bielska Podlaska). Pierwszy w odrodzonej Polsce egzamin dojrzałości w tej uczelni złożyło w 1945 roku 21 abiturientów.

W okresie dziesięciolecia Liceum w Lesnej Podlaskiej ukończyło ponad 1000 osób, w

większości córki i synowie małorolnych i średniorolnych chłopów z Podlasia oraz młodzież ze środowiska robotniczego.

Zofia Wojcieszuk, abiturientka podlaskiego Liceum, zapytana, co sądzi o swej już niedalekiej pracy nauczycielki — odpowiedziała: „Kocham dzieci i chcę im poświęcić cały swój zapal, by wychować je na dobrych obywateli, na szczęśliwych ludzi”.

Jan Biały,
Lesna Podlaska



Przodownia nauki Zofia Wojcieszuk przed komisją egzaminacyjną

TAK JAK I W INNYCH MIASTACH

Był rok 1945. Pierwszy rok pracy w niepodległej Ludowej Ojczyźnie. Przyjechałem do Olsztyna. Miasto leżało w gruzach. Przez kilka miesięcy zastanawiałem się nad możliwością przeniesienia się gdzieś indziej, bo nie wierzylem wówczas w odbudowę miasta. Ale dokąd miałem iść? W Polsce spotkał podobny los? Zostałem więc i tak stałem się świadkiem dzwignia z gruzów przestarzałego polskiego Olsztyna: budowy pozamiejskich dzielnic nad Jeziorą Długim, kolonią Mazurkowską, ulic Stalina, Partyzantów, 1 Maja i Kopernika, pięknego dworca, gmachu

Prezydium WRN, szpitala kolejowego, żłobków, szkół, kina oraz wielu innych gmachów. Przed dwoma laty podjęto rekonstrukcję najstarszej dzielnicy Olsztyna, dziś jest już ona częściowo zamieszkała. Cała ta dzielnica otrzymała piękną oprawę dostosowaną do stylowych kamieniczek na Starym Rynku. Jednocześnie z przebudową ulic i całych dzielnic zakładane są trawniki, kwietniki, skwery.

Olsztyn staje się miastem nowoczesnym, zapewniającym coraz lepsze i przyjemniejsze warunki życia swym mieszkańcom.

B. Gaweł, Olsztyn



Jeden z nowych gmachów w Olsztynie

O MOIM SYNKU, KTÓRY ODZYSKAŁ ZDROWIE

Gdybym chciał napisać o zmianach, jakie zaszły w moim życiu w ciągu dziesięciolecia Polski Ludowej — fotokorespondencja moja zajęłaby wiele miejsca. Bohaterem moich wspomnień uczynił więc mój 5-letni syn, który Polsce Ludowej zawdzięcza chyba najwięcej — bo życie.

Pamiętam dobrze, jak wyglądała w Polsce przedwojennego opiekę zdrowotną i leczenie dla ludzi pracy. Ileż tematów do dociepów i żartów dostarczała ówczesna Ubezpieczalnia Społeczna, która rzadko kiedy niosła pomoc naprawdę jej potrzebującym. Droższe leki z reguły przeznaczone były dla „uprzywilejowanych” — nie dla ubezpieczonych.

W jakże odmiennych warunkach leczył mój syn, który w kwietniu 1951 roku zapadł na straszną chorobę — gruźlicę zapalenie opon mózgowych.

W najbardziej krytycznym okresie, gdy zdawało się, że walka z chorobą jest już beznadziejna, lekarze i pielęgniarki Szpitala Dziecięcego w Lublinie nie opuścili rąk, ratując za wszelką cenę życie Władzka. Dziecku stosowano streptomycynę i inne leki w takich ilościach, jakich wymagało leczenie, bez względu na ich cenę.

Po blisko dwumiesięcznym zmaganiu się z chorobą życie dziecka zostało uratowane. Mimo że Władzio nie groziło już żadne niebezpieczeń-

10 LAT W E W S P O M N I E N I A C H

NIE BYŁO ŁATWO TO ZROBIĆ



Takim zastaliśmy Muzeum w roku 1947

Był rozwalony bombami gmach, zniszczone pracownie, rozproszone i zdewastowane zabytki. Byli jednak ludzie oddani swej pracy, którzy doskonale rozumieli, że we Wrocławiu musi jak najszybciej powstać muzeum.

Zaczęliśmy od paru zimnych pokoi w skrzydle spalonego pałacu, od gorączkowych poszukiwań i zabezpieczania dzieł sztuki i kultury śląskiej, od gromadzenia ocalałych, nielicznych pomocy naukowych.

Rok 1948. Wystawa Ziemi Odzyskanych i pierwszy nasz

sukces — otwarcie muzeum dla publiczności. Ślady słowiańskiej przeszłości Śląska, zabytki piastowskiego średniowiecza, dzieła malarstwa polskiego zostały wówczas udostępnione społeczeństwu w odbudowanych salach gmachu.

W ciągu lat dzielących nas od tej chwili oddano do użytku 50 nowych sal, które pomieściły 56 wystaw, otoczono opieką muzeów regionalne Dolnego Śląska, otwarto oddziały i muzea w Brzegu, Jeleniej Górze, Bolesławcu, Bolkowie, a także w Starym Ra-



Rok 1953. Wystawa kultury wsi dolnośląskiej

tuszu wrocławskim. W gmachu muzeum znalazła pomieszczenie biblioteka fachowa — jedna z największych tego rodzaju w Polsce — licząca 35 tys. tomów. Nie na tym jednak kończy się działalność muzeum: odczyty, referaty, ruchome wystawy urządzone w świetlicach i zakładach pracy Dolnego Śląska, pogadanki radiowe i artykuły w prasie codziennej — to dalszy ciąg nie mniej ważnej pracy tej placówki.

W sierpniu 1951 roku stutysięczny zwiedzający przekro-

czył progi muzeum, dzisiaj cyfra ta dobiega miliona. Od czterech lat organizowane są odczyty poświęcone kulturze wsi dolnośląskiej. Do 76 miejscowości Dolnego Śląska dotarli instruktorzy oświatowi muzeum z wystawami.

Nie łatwa to była praca, ale przyniosła dobre owoce. Muzeum wrocławskie stało się prawdziwie społeczną placówką kultury, dostępną dla wszystkich.

Anna Wądołowska, Wrocław
Fot.: Muzeum Śląskie

O ICH PRZYSZŁOŚĆ JESTEM SPOKOJNY



Basia i Ludwik uczą się dobrze i rosną na zdrowych, politycznych ludzi.

Życie moje przed wojną było podobne do losu niemal całej młodzieży robotniczej. Ojciec — woźny, zarabiał niewiele, toteż moja nauka w szkole handlowej okupiona była wielu wysiłkami i wyrzeczeniami. Zresztą nie przyniosła mi tego, czego oczekiwałem: nie zapewniła pracy i zarobku.

Po długich poszukiwaniach i staraniach zostałem gońcem w przedsiębiorstwie państwowym. Pracę moją potraktowano jako praktykę i nie płacono mi ani grosza. Ponieważ owa „praktyka” przedłużała się, zacząłem roznosić po mieszkaniach reklamy różnych firm, przemierzając codziennie niezliczone piętra. Z kolei jako komiwojażer zachwalałem w podwarszawskich miejscowościach towary kolonialne.

Często zmęczony siadałem na przydrożnym kamieniu i z gorąco myślałem, że na nic się zdało z trudem zdobyte wykształcenie: znajomość księgowości, stenografii, korespondencji handlowej itp.

Nie rozumiałem wówczas, kto jest temu winien: dlaczego nie mogę dostać pracy, dlaczego nie mogę zarobić na utrzymanie. „Bezrobocie” — powtarzałem za innymi, nie zastanawiając się nad jego przyczyną.

Przyszedł rok 1945, życie moje zmieniło się. Zgłosiłem się do MPK, gdzie podczas okupacji pracowałem jako konduktor tramwajów. Wraz z innymi kolegami odbudowywałem i uruchamiałem nasz zakład pracy. Po roku przeszedłem do pracy umysłowej i mimo że już „czterdziestkę” miałem, „na karku” — wstąpiłem na wyższe studia. Skorzystałem z dobrodziejstwa nauki, jaką zapewnia obywatelom Polska Ludowa, i w roku ubiegłym ukończyłem wydział prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Nie byłam zresztą wyjątkiem. Wiele moich towarzyszy, jak np. Ludwik Gorliwy czy Hieronim Kruk — uczyniło to samo. Wyższe studia zapewniły mi awans, no i — lepsze uposażenie.

Dziś już wiem, kto był winien bezrobociu w Polsce przedwojennego, dlaczego ucząca się młodzież przesiadała wzdłuż „nadprodukcji” inteligencji i wiem również, że dziś młodzi po ukończeniu szkoły nie lękają się braku pracy.

Mam dwoje dzieci: 10-letnią Basię i 14-letniego Ludwika. Mała marzy już dziś o zawodzie nauczycielki, a syn chce być inżynierem-elektrykiem. Z zapalem robi różne doświadczenia. Ze wzruszeniem patrzę na nich, jak się uczą, jak się bawią, jak mówią o swej pracy społecznej czy dalszych projektach. O ich przyszłość jestem zupełnie spokojny.

Wł. Szklarczyk, W-wa



Wśród młodzieży studenckiej zapomniałem o zbliżającej się „czterdziestce”.

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

„SKONDENSOWANA” KSIĄŻKA

Aparat fotograficzny znajduje coraz szersze zastosowanie w służbie nauki. Od kilku lat mikrofotografia oddaje nieocenione usługi w archiwach, bibliotekach, pracowniach naukowych przy reprodukowaniu dokumentów naukowych i rzadkich książek.

Taśma mikrofilmowa szerokości 35 mm jest niskoczuła, pracuje dość kontrastowo, lecz posiada ziarno bardzo drobne, co umożliwia wykonanie silnie pomniejszonej (ponad 35 razy) reprodukcji, dając następnie ostre i przejrzyste powiększenia. Taka bowiem „skondensowana” na taśmie filmowej książka, jeśli fotografujemy po dwie strony na jednym negatywie, wynosi zaledwie 2% wielkości i ciężaru oryginału, a jednocześnie stanowi wierną kopię cennego nieraz zabytku.

Mikrofotografia oddaje również cenne usługi studiującej młodzieży czy naukowcom, którzy za niewielką cenę mogą mieć potrzebne zdjęcia oryginałów, zaoszczędzając czas i wydatki na podróże do bibliotek i archiwów.

Koszt 17 m taśmy mikrofilmowej wynosi 55 zł. Taki ładunek daje ponad 400 negatywów, a więc koszt jednej klatki, na której można zmieścić dwie strony książki — wynosi ok. 16 groszy. Tyle samo kosztuje, nie licząc robocizny, wykonanie pozytywu na mikrofilmie. A książkę 200 stronową możemy zmieścić na 4-metrowym odcinku filmu.

Do wykonania zdjęć reprodukcji dokumentów i książek służą specjalne aparaty automatyczne, pozwalające na sfotografowanie ponad 5000 dokumentów na godzinę. Mniej skomplikowane aparaty wykonują od 700 do 2000 zdjęć na godzinę. Zwykłą „Leicą”, „Exactą” lub innym tego rodzaju aparatem małoobrazkowym możemy również wykonać precyzyjne zdjęcia mikrofilmowe, choć w tempie znacznie wolniejszym. Konieczne są do tego oczywiście pierścienie pośrednie lub soczewki nasadkowe umożliwiające wykonanie zdjęć z bliska, tak, aby obraz dokumentu czy strony książki wypełnił cały format negatywu.

Do odczytania mikrofotografii — pozytywu, wykonanego również na taśmie mikrofilmowej, służy specjalny przyrząd t.zw. „lektor”. Aparat ten powiększa sfotografowane dokumenty do ich naturalnej wielkości. Gdy nie mamy takiego urządzenia możemy również posłużyć się powiększalnikiem, rzucając obraz na ekran. Można również wykonać powiększenia na papierze fotograficznym, ale jest to sposób o wiele kosztowniejszy.

Mikrofotografia jest u nas coraz powszechniej stosowana w pracowniach naukowych. PKPG oceniła ogromne korzyści, jakie daje zastosowanie tej metody, i dąży do jej upowszechnienia.



Władzio walczy z śmiercią

Notatnik zapaleńca

SŁODKA HERBATA MISTRZA SPORTU

UWAŻNY Czytelnik mógł zauważyć, że autor „notatnika” wraca często do tego samego tematu: sensu sportu. Można, rzecz jasna, walczyć tym nie zajmować. Można poprzestać na tym, że ten skoczył tyle, a ów rzucił tyle. Można wrzeszczeć na meczu wraz z tysiącem innych „sędzia łobuz” i nie próbować się zastanowić, dlaczego właściwie przykładą się do tej piłki tak wielką wagę. Stwierdzić fakt, że „sport jest popularny” — i zamknąć dyskusję. Pisarzowi jednak nie wolno sobie na to pozwolić. O ile nasze myślowanie po problemach sportowych ma zrodzić jakiś utwór literacki — musimy chociażby z grubszą ustalić miejsce sportu w życiu człowieka.

I tu spostrzegam, że o wszystkim już była mowa — i o teorii poznania, i o pięknie walki, i długowieczności, i licho wie o czym jeszcze — a przeoczyliśmy, drodzy zapaleńcy, najważniejsze: rozkosz, jaką daje zwycięstwo. Nie laury, nie poklask tłumów, nie zdjęcie w gazecie, nie nagrody, ale sam fakt, że „ja jestem pierwszy”, że „ja rzuciłem najdalej”, że „ja wygrałem!” Ja!

Bo któż z nas nie lubi wygrywać? Tylko bardzo zepsuci ludzie muszą grać o pieniądze, żeby czuć się zwycięzcami. Ale i tu bardziej może idzie o jakiś miernik zwycięstwa niż o marną mamonę. „Czy herbata staje się słodka od cukru czy od mieszania?” — zapytywano w starej anegdocie. — „Od mieszania”. — „Więc po co sypie się cukier?” — „Żeby wiedzieć jak długo mieszać”. Taką rolę cukru spełnia dość dokładnie gorycz porażki lub słodycz zwycięstwa.

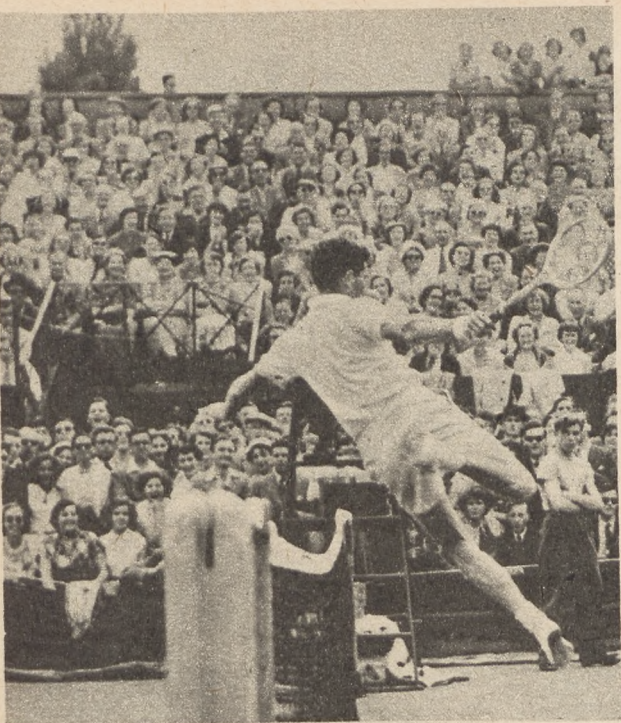
Ala to dotyczy tylko ludzi zblazowanych. Nam, niezeptym zapaleńcom, o wciąż żywej, dziecięcej niemal świeżości odbioru, wystarczy po prostu zwycięstwo. Łaknie go człowiek wszędzie — przy pracy, w miłości, w życiu towarzyskim. Gdy przegrywamy wszędzie — budzi się w nas pragnienie jakiegokolwiek zadośćuczynienia. Czyż niektórzy ludzie, słabi w każdej dziedzinie, nie hodują sobie specjalnie psów dlatego, że zwierzęta te umieją bardzo sprytnie udawać uległość? Stąd owe „Ciasek, służyle”, „Ciasek, do nogi!”, „Ciasek, leżeć!” wydawane rozkazującym głosem przez notoryczne ofiermy. A ileż to razy bywa, że jedenastoletni chłopczyk, bity przez wszystkich swoich kolegów, staje do walki z siedmioletnią dziewczynką, by tym razem nareszcie zwyciężyć? Oczywiście, zwycięstwo jego jest tylko pozorne, jak zresztą wszystkie nasze zwycięstwa nad dziećmi i zwierzętami.

Za to wygrana na bieżni ma wartość bezwzględną. Osiąga się ją w ostrej, szlachetnej walce. Wielka jest rozkosz zawodnika, który pierwszy poczuł na swoich piersiach taśmę. Jeszcze jest zadyszany, jeszcze spojrzenie jego jest zamglone, a już na ustach wykwiła uśmiech szczęścia. Że też żaden malarz nie spróbował tego oddać! Tyle się mówi o uśmiechu Giocondy, a nikt nie potrafił jeszcze namalować uśmiechu Lerczakówny! Leonardo by takiej okazji nie przepuścił.

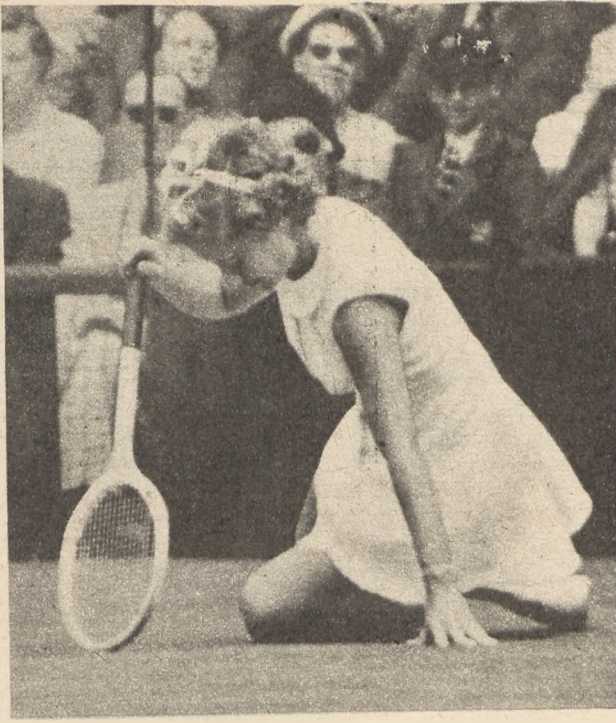
Niemniejszą chyba rozkosz sprawia zawodnikowi zwycięstwo nad samym sobą. Nie, nie, to nie będą moraty! Zawodnicy wiedzą, o co idzie. Wyobraźmy sobie jakiegoś młodzieńca, który poczuł w sobie żylkę sportową. Chce skakać w dal. Skoczył — niewiele ponad pięć metrów. Zaczyna zaprawę gimnastyczną, biegi. Bolą go kości, mięśnie zamieniają się w gruzy. Nic nie wychodzi. Młodzieniec zaciął zęby. Masuje mięśnie, uprawia gimnastykę, sprinty, ćwiczy na tapczanie „aniółka”, skacze na jednej nodze z obciążeniem. Nie wie sam, kiedy przekracza sześć metrów, kiedy ustąpiło zmęczenie, kiedy wyrosły mu skrzydła u ramion. Po kilku latach przychodzi wielki dzień: siedem metrów! I młodzieniec spogląda zdumiony na swoje nogi i myśli oszołomiony: „ja?”. Osiągnął zwycięstwo nad samym sobą. Doprowadził swoje ciało do niezwyklej sprawności.

Kiedyś stary Lew Tolstoj czytał młodemu Maksymowi Gorkiemu jakieś swoje opowiadanie. Przeczytawszy przymknął oczy i wyszeptał: „Pięknie napisał starszek”!

Myślę, że każdy wielki mistrz ma chwile, kiedy zdumiewa go jego własny kunszt. Mistrz sportu — także.



Aby odnosić sukcesy w tenisie trzeba być wszechstronnym sportowcem. Oto jak wygląda jeden z efektywnych podskoków Paty'ego do trudnej piłki przy siatce



Młodziutka Maureen Connolly przezwana „Mała Mo” odniosła w Wimbledonie podwójny sukces — zdobyła nie tylko tytuł mistrzyni świata „ale równocześnie męża

DRUGA STRONA WIMBLEDONU

ZDAWAŁOBY SIĘ, że korty tenisowe buduje się w tym celu, aby służyły do gry, gdy nadejdzie wiosna. Inaczej jest w Wimbledonie — tam przez cały sezon nie wolno żadnemu tenisistcie stąpnąć na trawiaste hoisko. Wimbledon otwiera swe podwoje tylko raz do roku i to wtedy, kiedy odbywa się doroczny, tradycyjny turniej o mistrzostwo świata.

Dlaczego tak się dzieje? Ponieważ gospodarze kortów należących do „All England Tennis Club” traktują turniej wimbledoński wyłącznie pod kątem świetnego interesu. Impreza przynosi kolosalne dochody i to jest najważniejsze. Pieczołowicie więc pielęgnują korty (trawiaste) przez okrągły rok, aby były jak najlepsze w czasie turnieju.

„All England Tennis Club” jest towarzystwem akcyjnym. Aby zostać jego członkiem (czytaj zdobyć akcje), nie trzeba dobrze grać w tenisa, natomiast należy być „wysoko urodzonym” i mieć odpowiednią pozycję towarzyską. Znać się wypadki, że podania o przyjęcie do klubu leżą w sekretariacie po kilka a nawet kilkanaście lat i nie mogą doczekać się rozpatrzenia.

Czy łatwo jest zwykłemu śmiertelnikowi oglądać turniej wimbledoński? O! — to niezwykle trudna sprawa. Sprzedaż biletów na turniej, który rozgrywany jest w lipcu, odbywa się już na początku roku. Są to bilety abonamentowe, o cenie nie dla wszystkich przystępnej. W czasie zawodów można wprowadzić kupić wejściówkę, lecz nie na trybunę centralnego kortu, ale na miejsca dla stojących. Aby to jednak zrobić, trzeba całą noc spędzić pod bramami Wimbledonu w kolejce do kasy. Oczywiście Wimbledon jest rajem dla spekulantów, a na tegoroczne finały ceny miejsc dochodziły do 50 funtów:

Chciwość organizatorów stała się już przysłowiowa. Tak np. Big Tilden — jeden z najlepszych tenisistów świata, już dziś nie żyjący — przez wiele lat grywał w turniejach wimbledońskich, a w jednym roku zdobył tytuł mistrza świata. Po pewnym czasie Big przeszedł na zawodowstwo i kiedy przybył do Londynu i w charakterze widza poprosił o zaproszenie na trybunę, odmówiono mu. Człowiek, który przysporzył miliony towarzystwu akcyjnemu, został niemal wyrzucony za drzwi.

A propos Tildena — był on bodaj pierwszym, który jakby „zbuntował się”. Uważał, że tenisisci są wykorzystywani i wy-

zyskiwani przez organizatorów wimbledońskich, bo ci placą zawodnikom tylko skromne diety, a sami zagarniają olbrzymie sumy. Big sam zorganizował drużynę tenisistów zawodowych i jeździł z nią po świecie (był również w Warszawie).

W ten sposób Tilden spowodował jakby przewrót w światku tenisowym. Od tej chwili utarło się, że gracz, który odniesie sukces w Wimbledonie i zdobywa kolosalny rozgłos, zostaje członkiem „cyрку Tildena”. W konsekwencji rywalizacja o pierwsze miejsce w Wimbledonie stała się coraz bardziej bezwzględna, a czasem nawet okrutna — bo była to rozgrywka o korzystne kontrakty, o dolary. Oto mała próbka tej walki, dalekiej od tej, którą my nazywamy prawdziwym sportem.

Było to w 1938 roku, gdy do finału doszły Helena Jacobs i jej szkolna koleżanka Helena Moody-Wills. W ósmym gemie pierwszy seta Jacobs rzuca się do beznadziejnej piłki i stara się ją uratować. Traci jednak równowagę i przewraca się. Podnosi się z trudem z twarzą wykrzywioną bólem. Zaczyna kulować na korcie. Dalsza gra staje się już tylko przykrym widowiskiem. Wills nie odzywa się do przeciwniczki ani jednym słowem, chociaż widzi, że jej koleżanka utyka. Publiczność oczekuje, że Wills podejdzie do rywalki i zaproponuje jej przerwę. Nic podobnego. Moody — kobieta, jak ją nazywano, o „warszawski pokerzysty” — nie zwraca żadnej uwagi na kuszyczącą Jacobs. Przeciwnie Wills gra jeszcze ostrzej i bezlitośnie kończy koleżankę-inwalidkę. Jacobs już nie biega, lecz tylko stacjuje.

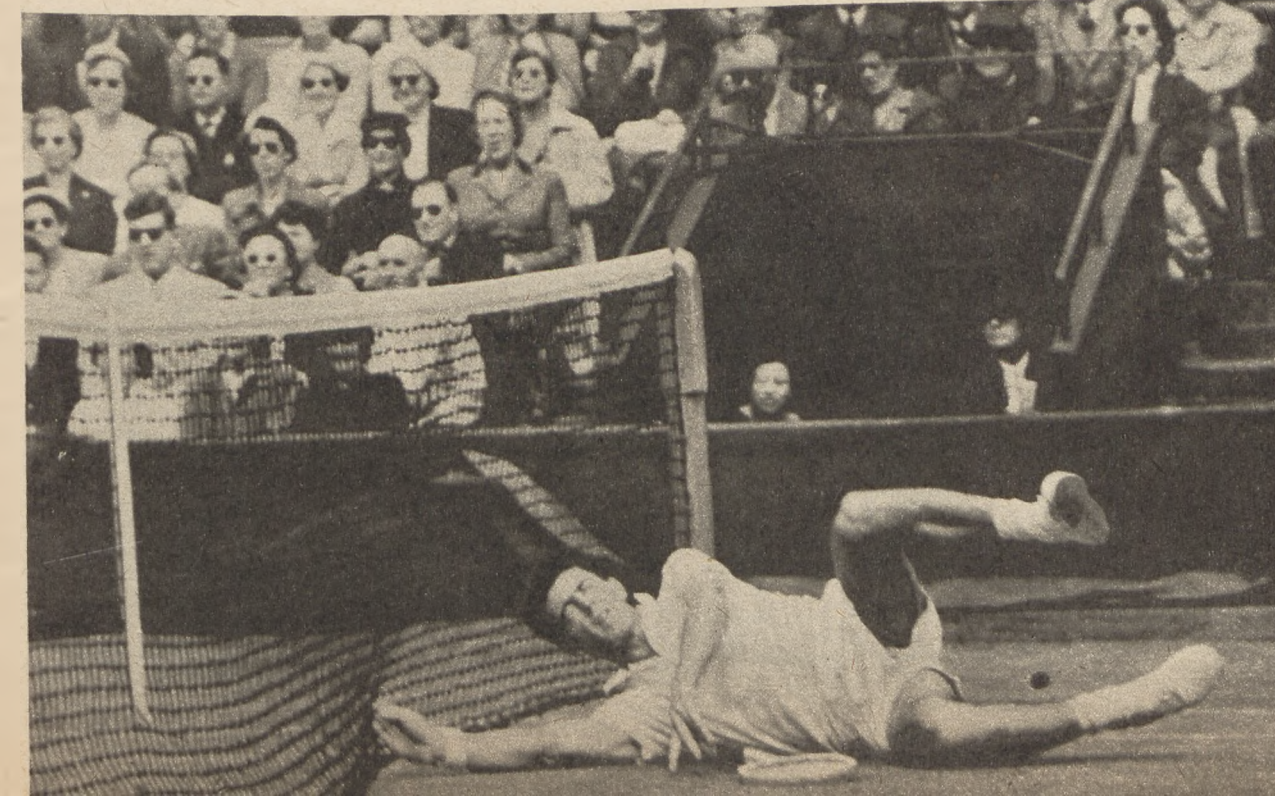
Z początkiem drugiego seta podchodzi do Jacobs jedna z pań z komitetu turniejowego i zapytuje czy nie chce odpocynku. Helena energicznie kręci głową i odrzuca tę propozycję. Wills nie mrugnęła nawet okiem... Przechodzi przy zmianie stron kortu tuż koło Jacobs, nieomal się o nią ociera, ale opuszcza oczy i udaje, że jej nie widzi. I tak wygrała Moody Wills. Mecz ten na całej widowni wywarł bardzo przykre wrażenie, ale Wills walczyła wówczas o wielką stawkę. Obiecano jej, że jeśli wygra, to przyjmą ją do „cyрку Tildena”... i podpiszą z nią bardzo korzystny kontrakt.

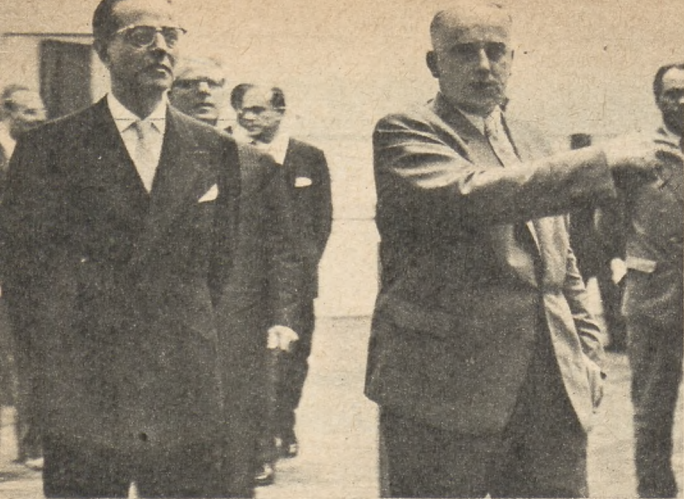
I tak Wills zapomniała o prawdziwym sporcie i o więzach przyjaźni...

K. GRIŻEWSKI

Zażarta walka o każdą piłkę toczyła się w półfinale pomiędzy faworytem Amerykaninem Trabertem a 18-letnim Australijczykiem Rosevallem. Pojedynki często kończyły się upadkami. Właśnie przewrócił się Trabert

Fot. Keystone





Włoski min. Oświaty De Martino zwiedza nasz pawilon
Po prawej: prof. Starzyński, komisarz polskiego pawilonu

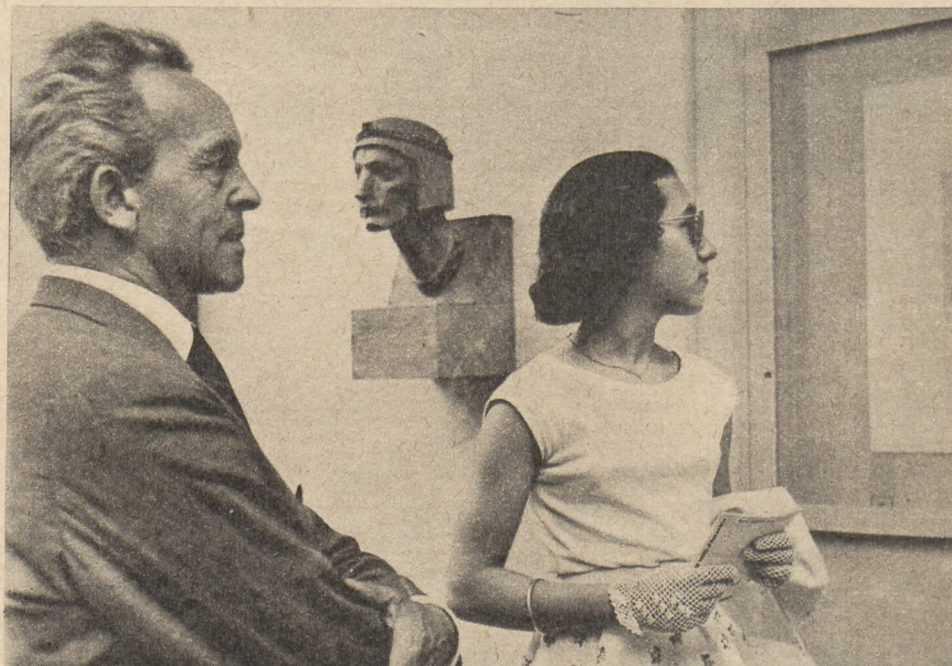
JULIUSZ STARZYŃSKI

WIDZIAŁEM SURREALISTÓW W OJCZYŹNIE TYCJANA

XXVII BIENNALE W WENECJI



Tadeusz Kulisiewicz i Aleksander Kobzdej zwiedzają Wenecję na gondoli



Córkę malarza Severini oprowadza po pawilonie polskim Tadeusz Kulisiewicz

W obronie Madzi

J. A. SZCZEPAŃSKI

JESZCZE nie docichły spory o sens i wartość ukazanej w Teatrze Polskim scenicznej przeróbki „Lalki”, a tu już nowy uteatralniony Prus wkroczył na scenę. Sam Jarosław Iwaszkiewicz — do spółki ze swoim dawnym współautorem, J. M. Rytardem — sięgnął po pióro, by opracować na scenę pierwszy tom „Emancypantek”; a Teatr Współczesny w Warszawie — nie zrażony nagonką na sceniczną „Lalkę” (nowa i żalosna męska Trędowata!), podjął się te urwane „Emancypantki” oblec w teatralne szatki. Nowa powieść sceniczna — pod nazwą „Pensja pani Latter” — rozpoczęła swój przedkulisowy żywot.

I zaraz — huzia na nią! Że nie przenosi na scenę całych „Emancypantek”, że zatem zatracza wielkie perspektywy powieści; że „cała pensja pani Latter” jest upiorną i udzielną jednocześnie i że to w ogóle „trącająca myszką ogólna dziecinada”; że całość udowadnia raz jeszcze, iż przerabianie powieści na scenę to zabieg barbarzyński, a przy tym niecelowy, bo chirurgicznie spreparowany potworek i tak jest do życia niezdolny. Nie fałszujemy nam powieściopisarzy przez przerabianie ich na siłę w dramatopisarzy — rozdarto szaty — z Prousta czy Prusa nie da się prostą sztuką krawiecką wykreślić dojrzałej sztuki teatralnej!

Te sprzeciwy mają posmak hysterii. Bo czy w przeróbce „Lalki” zabrakło Prusa i czy „Pensja pani Latter” nie odtwarza — w dramatycznej kondensacji i koncentracji — problematyki początku „Emancypantek”, a zatem problematyki jeszcze głębiej realistycznej i w twórczości Prusa bodaj najbardziej krytycznej? Musimy się porozumieć. Przeróbki dramaturgiczne nigdy nie będą mogły porównać do scenicznych deskami całego utworu powieściowego i nie w tym zresztą ich rola. Wątki epickie to nie wątki dramatyczne. Nie na tym więc rzecz polega, by, na przykład, w przeróbce „Lalki” znalazła się na scenie cała Warszawa i cała akcja powieści — bo to absolutnie niemożliwe — ale by do głosu doszedł antyfeudalny realizm Prusa, zawarty w obrazie dzieł Wokulskiego i Izabelli. Co gdy się stało — wygrał i adaptator, i widzowie. Ale po co wygrali? Odpowiedź bardzo prosta — po pierwsze: bez przeróbek nie odświeżymy, nie wzbogacimy naszych tradycji teatralnych, po wtóre: w okresie osłabienia tętna dramaturgii przeróbki mogą w znakomity sposób tętno to wzmocnić, niemają się przyczyniając do wyjścia z impasu. Przykład na poparcie pierwszego argumentu: czy sceniczny „Meir Ezofowicz” nie spełnia — a uszczelnione „Przedwiośnie” czy nie mogłoby spełniać — ważnej artystycznej roli i czy sceniczny Prus nie uzupełnia w pewien charakterystyczny sposób naszego teatralnego repertuaru wielkiego realizmu krytycznego? Dowód na drugi argument: czy uteatralniony „Bieg do Iragala” nie wypełnia luki w naszej dramaturgii, jak wypełniłaby ją sceniczna „Pamiętnik z Celulozy” czy „Uczta Bałazara”?

O wymiencypowanie sceniczenie „Emancypantek” rozgorzały zatem spory. Ale w ich centrum znalazła się nie tylko zasadnicza dyskusja o wartości i użyteczności teatralnych przeróbek; również osoba Madzi Brzeskiej znalazła się w ogniu dyskusji.

Trudno się temu dziwić. Madzia Brzeska to centralna postać całości „Emancypantek”, a więc i łączące ogniwo w teatralnej „Pensji pani Latter”. Co zrobić z Madzią, jak ją pokazać żywą wśród żywych? Jak wlemy, „Emancypantki” są powieścią, która ilustruje uwstecznięcie się poglądów Prusa, stopniowe

schodzenie pisarza z pozycji realisty na manowce idealizmu i naiwnej ufności w dodatnią społecznie rolę arystokracji. Stąd wielki realizm pierwszego tomu (pensja pani Latter!), a mały realizm satyry na zaśniedziałe kółnictwo prowincjuszków i zaczepne kółnictwo nowobogackich, pomieszany z zachwytem nad filantropijnymi zasługami bogaczy Solskich i z pedantycznym wykładem arcymentnej, na szczęście przez czytelnika przeważnie opuszczanej (przyznajcie się!) filozofii Dębickiego. Wśród tych przemian jedna Madzia się nie przemienia, od pierwszej strony pierwszego tomu do ostatniej

strony tomu ostatniego jest stale „geniuszem uczucia”, jest stale gąską, która powiada, że nie może wyjść za mąż za Solskiego, ponieważ należała do innego mężczyzny; a dlatego „należała”, że całował ją długo, może 5, może 10 minut... Jak taką Madzię pokazać na scenie? Madzię — sceniczną — udzielną i oglupioną, zrobioną z niej zwykłą idiotkę — powiada rozpedzony krytyk. Jest akurat przeciwnie. O zakład ide, że nikt z widzów „Pensji pani Latter” nie przypisze Madzi, interpretowanej przez Zofię Mrozowską, takiej patentowanej nieświadomości, takiego nie z tej ziemi anielstwa-cieleństwa, jakie jej przypisuje Prus — lecz, że zrozumie Madzię jako bardzo młodą, ale rzetelną i rozsądną wychowawczynię niewiele od siebie młodszych pensjonarek — jako kandydatkę na bohatera pozytywnego. A jeśli tak widzi Madzię — znaczy, że Mrozowska odniosła piękny sukces aktorski, że urealniła, uprawdopodobniła postać najtrudniejszą do przeniesienia na scenę.

A inne wady czy zalety przedstawienia? Tu wśród widzów panuje na ogół zgoda, bez oglądania się na grymasy i zły humor czyjkolwiek. A więc: że reżysersko (Erwin Axer) sztuka jest opracowana filigranowo, że mozaikową składankę ogląda się jako jednolitą, zwarte widowisko, że dekoracje (Otto Axer) spełniają wyznaczone im funkcje, że aktorzy grają na ogół bardzo dobrze. Prowadzi ich korowód Irena Horecka, bardzo ludzka i tragiczna w roli pani Latter, zaszczeranej przez wierzycieli i przez własne niezrozumienie warunków społecznych, w których jej działać przyszło — głęboko wzruszająca widzów.

Obok Horeckiej interesująco gra Aleksandra Śląska (córka pani Latter), a w innych rolach m. in. Halina Kossobudzka (marwana panna Howard), Stanisław Kwaskowski (zacosci profesor Dębicki), Michał Melina (realistyczny lichwiarz Fiszman), Edward Kowalczyk (szlachetka Mieliński, wierny adorator pani Latter)...

Są zresztą w przedstawieniu i pozycje słabsze (niestylowa Joasia, ofiara „chuci” Kazia Norskiego, jak mówiono za czasów dobrego Prusa; sztywny Stefan Solski — hrabia-filantrop; nieokreślona Malinowska, spadkobierczyni pensjonatu pani Latter; fałszywie ujęty lichwiarz Zgierski) — a jedna budzi nieco melancholijne refleksje. Chodzi o Andrzeja Łapickiego w roli młodego Norskiego. Czy Łapicki tę rolę nie prowadzi? Bynajmniej. Czy nie daje realistycznego obrazu chuliganizującego synka pani Latter? Daje. A więc? Rzecz w tym, że Łapicki gra stale tego samego cynicznego, płaskiego uwodziciela, którego widzieliśmy w niejednej już odtwie. Łapicki jest utalentowanym aktorem, pamiętamy jego celne osiągnięcia w „Ladaczniczy z zasadami” Sartre’a czy w „Trzydziestu srebrnikach” Fałta. Łapickiemu konieczny jest jednak płodozmiłan, konieczne są innego typu role, jeżeli nie ma popaść w manierę. Reżyser, któremu talent i rozwój aktorski Łapickiego leżą na sercu, powinien koniecznie na przyszłość wziąć te okoliczności pod uwagę.

Sądząc z dotychczasowych nastrojów — powodzenie „Pensji pani Latter” w Teatrze Współczesnym będzie niemienniejsze niż „Lalki” w Teatrze Polskim. Ten żywiołowy plebscyt widzów stanowi atut nienajmniej w dyskusji o wartości scenicznego adaptacji. Ba, atut jeden z najważniejszych — boć przecież zgadzamy się wszyscy, iż teatr jest dla życzliwych widzów, a nie dla zoiłów.



Fot. COPA

Aleksandra Śląska w roli Heleny — córki pani Latter

D SCHYLKU XIX w. utarła się ciągłość organizowanych co dwa lata międzynarodowych wystaw sztuki w Wenecji. Stąd nazwa ich — Biennale. Piękne tło ogrodów, wśród których wznoszą się pawilony różnych krajów, doskonała organizacja, a nade wszystko atmosfera sztuki, którą przepełnione jest to miasto — stwarzają warunki niemal ze wymarzone dla konfrontacji artystycznej różnych narodów.

W tym wszystkim jest jednak jakieś „ale”. Owo „ale” polega właśnie na tym, że w zmerkantylizowanej do gruntu atmosferze życia artystycznego w krajach kapitalistycznych dyskusje o sztuce rzadko kiedy służą szczeremu poszukiwaniu prawdy. Zazwyczaj są one jedynie pokrywką bardzo pospolitych machinacji handlarzy obrazów.

Tegoroczna XXVII Biennale jest największą ze wszystkich tego rodzaju wystaw, jakie dotychczas się odbyły. Biorą w niej udział artyści 32 narodów. Wydawałoby się zatem, że jest to pole do konfrontacji różnorodnych osiągnięć i kierunków artystycznych...

Niestety, wysunięte przez organizatorów założenie — surrealizm i sztuka abstrakcyjna — określiło w sposób fatalny oblicze tegorocznej wystawy. Dobitnie poucza nas ona o tym, co znaczy kosmopolityzm w sztuce — niwelacja wszelkich odrębności narodowych, nuda i beznadziejna jałowizna. Nie pomoże odwoływanie się do wspomnień wrażliwego artysty, jakim był Paul Klee, a tym bardziej nie pomogą hałaśliwie reklamo-

wane pokazy „mistrzów” surrealizmu, takich jak Max Ernst, Joan Miro, perfidny mistyfikator Salvador Dali, lub rzeźbiarz elementów kanalizacyjnych — Hans Arp. Sztuka tych „mistrzów”, jak również plejady ich naśladowców różnych narodowości gonjących za poklaskiem garstki snobów i kombinatorów — nikogo już dzisiaj nie wzrusza. Zaiste, wystawa, która miała być apoteozą surrealizmu, przez masowe pokazanie pseudoartystycznych produktów tego kierunku stała się w rzeczywistości jednym wielkim cmentarzem samobójców. A dzieje się to w najbliższym sąsiedztwie wiecznie młodych mistrzów — Tycjana, Veronesa, Tintoretta...

Na szczęście surrealizm nie wypełnił tegorocznej wystawy bez reszty. Najwidoczniej sami organizatorzy odczuwali już beznadziejność sytuacji, skoro zdecydowali się na jednoczesne pokazanie wystawy retrospektywnej wielkiego realisty francuskiego — Gustawa Courbety. Przez tendencyjny dobór dzieł usiłowany wprawdzie stępić ostrze krytycyzmu społecznego Courbety, twierdząc, iż jest to jedynie „wymysł komunistów” — niemniej dzieła te na tle swego formalistycznego otoczenia przemawiają tym dobitniej w imię prawdziwej sztuki. Są one wielkim manifestem twórczości wyrastającej z życia i służącej postępowi.

Ale walka ideologiczna toczy się na Biennale nie tylko dzięki udziałowi w niej dzieł zmarłego w 1877 r. wielkiego realisty i rewolucjonisty. Wbrew naciskowi amerykańskiego „mecenatu”, wbrew skrzytych zabiegom organizatorów i wszelkiego rodzaju pośredników — realizm na wystawach Biennale coraz potężniej dochodzi do głosu. W pierwszym szeregu tej walki stoi grupa naszych serdecznych przyjaciół — postępowych artystów włoskich: Guttuso, Carlo Levi, Mucchi, Pizzinato, Zancanaro, Zigaina i wielu innych, świetnych rysowników i malarzy.

Jako komisarz działu polskiego na Biennale, przebywając kilka tygodni we Włoszech wraz z Tadeuszem Kulisiewiczem i Aleksandrem Kobzdejem, mogłem się osobiście przekonać o sile i żarliwości walki o realizm i odrodzenie sztuki narodowej, jaką prowadzi nasi włoscy przyjaciele. Byliśmy doprawdy szczęśliwi znalazłszy się w ich gronie, tym bardziej że sukces sztuki polskiej na tegorocznej Biennale — wraz z poważnymi wystąpieniami realizmu socjalistycznego w pawilonach Czechosłowacji i Rumunii — został powszechnie uznany za istotny krok naprzód we wspólnej walce o zwycięstwo sztuki ideowej na terenie Biennale.

W tym roku sztukę polską reprezentują w Wenecji trzy wielkie wystawy indywidualne: Xawerego Dunikowskiego, Tadeusza Kulisiewicza i Aleksandra Kobzdeja. Są one do pewnego stopnia także ilustracją artystycznej drogi trzech różnych pokoleń twórców kształtujących współczesne oblicze sztuki polskiej.

Wystawa ponad 30 prac Dunikowskiego, otwarta impresjonistycznym jeszcze portretem Szczygłńskiego z 1898 r., a zakończona monumentalnymi kariatydami z odwołaniem do pomnika powstańców na Górze Sw. Anny na Śląsku — stanowi chyba najpoważniejszą manifestację rzeźbiarską na tegorocznej Biennale. Podobnie wyróżnia się na tym tle retrospektywny przegląd rysunków i drzeworytów Kulisiewicza, obejmujący zarówno prace z okresu międzywojennego, jak i najnowsze. Obydwie wystawy ukazują konsekwentną drogę, która poprzez najbardziej powikłane sytuacje pierwszej połowy XX w. wiodła naszych najlepszych artystów narodowych do sztuki ideowej, sztuki walczącej o socjalizm.

Chińskie i wietnamskie rysunki Kobzdeja, pokazane na Biennale w znakomitym wyborze, wywarły na zwiedzających głębokie wrażenie. Powszechnie podkreślano ich bezpośrednią i silną ideowo-artystyczną oddziaływanie. Rysunki te wzruszały i zdobywały dla naszej sprawy nawet ludzi obcojęzycznych.

Cennym uzupełnieniem naszej wystawy są tkaniny dekoracyjne H. Bukowskiej, A. Siedziwskiej i E. Plutynskiej, które w ogólną kompozycję pawilonu polskiego wniosły żywe akcenty barwne. Powszechnie dopominano się o urządzenie osobnej wystawy polskiej sztuki dekoracyjnej.

Poza entuzjastycznymi opiniami artystów, krytyków i zwiedzającej publiczności — dział polski na tegorocznej Biennale doczekał się również oficjalnego wyróżnienia. Wśród przyznanych przez UNESCO nagród, polegających na zobowiązaniu do reprodukcji i rozpowszechnienia dzieł danego artysty przez UNESCO we wszystkich krajach świata w ilości co najmniej 2500 egzemplarzy — znalazło się również nazwisko Tadeusza Kulisiewicza.

Należy to podkreślić tym mocniej, że wśród kilkunastu artystów wyróżnionych przez międzynarodowe jury był to jedyny przedstawiciel sztuki realistycznej. Dokonanie wyłomu w jednolitym froncie zwolenników sztuki surrealizmu i kosmopolitycznej jest wielkim, w pełni zasłużonym sukcesem naszego artysty. Równocześnie było to przez naszych włoskich przyjaciół zrozumiane jako wspólny sukces obozu sztuki postępowej i zapowiedź dalszych niezawodnych zwycięstw realizmu na forum międzynarodowym.

W czasie pobytu we Włoszech delegacja polska, w której skład weszli: Kulisiewicz, Kobzdej oraz autor niniejszego — odbyła cztery publiczne spotkania z włoskimi działaczami sztuki i kultury w Wenecji, Mediolanie i w Rzymie. Wiele mówiono na tych spotkaniach o wartościach naszej wystawy, ale głównym tematem rozmów była sprawa nawiązania bliższej współpracy pomiędzy przedstawicielami postępowej sztuki Włoch i Polski.

Jeden z naszych wielkich przyjaciół włoskich powiedział w pożegnalnym przemówieniu: „Dziękujemy artystom polskim za wielką pomoc, jaką nam przynieśli swą piękną, ideową sztuką. My, artyści włoscy, kontynuatorzy największego dziedzictwa sztuki światowej — wyrażamy nadzieję, że będziemy mogli kiedyś odwzajemnić się naszym polskim przyjaciołom”. Te słowa, będące wyrazem prawdziwego internacjonalizmu i braterstwa narodów, brzmiały nam w uszach, gdy pełni podziwu dla wielkiej, nieśmiertelnej sztuki włoskiej i piękna ludu włoskiego opuszczaliśmy ojczyznę Tycjana.

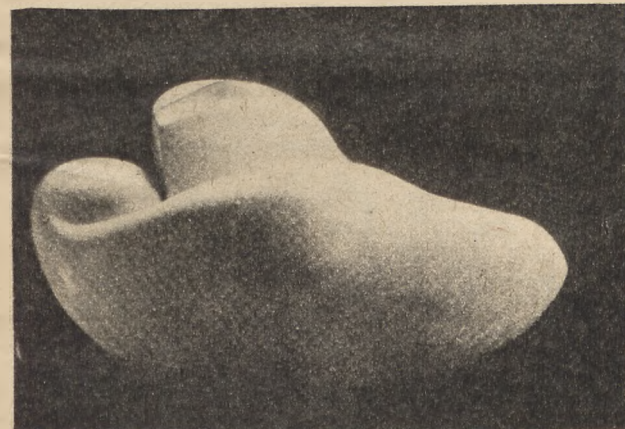


T. Kulisiewicz:

„Dzieci”



Joan Miro: „Martwa natura ze starym butem”



Jean Chauvin:

„W chłodny wieczór zimowy”



Rene Magritte:

„Terapeuta”



K. Dunikowski:

„Głowy Wawelskie”

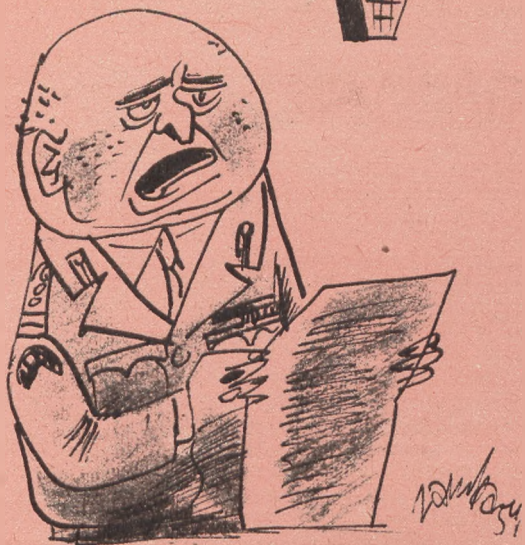


A. Kobzdej:

„Śmiejący się żołnierz”



SPEAKER



PULK. WRAK



MJR. BUC - ROZDZIAWA

Ych DZIEŚĘCIOLEGIE

ANTONI SŁONIMSKI

Rys. JERZY ZARUBA

Stolik. Mikrofon. Napisy „Free Europe“, „Voice of America“, „Radio Madryt“, „B.B.C.“.

SPEAKER: Tu mówią zjednoczone rozgłośnie „Głosu Ameryki“, „Wolnej Europy“, „Madrytu“ i „B.B.C.“. Nadajemy specjalną audycję w związku z nową prowokacją reżymu warszawskiego, który przygotowuje się do uroczystych obchodów rzekomego dziesięciolecia tak zwanej Polski Ludowej. Zamierzam naszym jest ostro przeciwstawić się przechwałkom warszawskiej tyranii, a raczej powiedzmy... cyranii... Na program dzisiejszy złoży się referat pułkownika Wraza, pogadanka ekonomiczna profesora majora Buca-Rozdziawy oraz część artystyczna: „Piosenki naszej Warszawy“. Pogadankę wygłosi pułkownik Persy LeChita z udziałem znanego śpiewaka majora John Wotulickiego. Głos ma pułkownik Wraza.

PULK. WRAK: Tu nie będzie żadnych frazesów! Tu będą cyfry. Tu nie będzie żadnej propagandy! Tu będą fakty. Marazmowi i nieróbstwu, w którym znalazł się kraj pod terrorem reżymowym, przeciwstawimy naszą aktywność. plon naszego dziesięciolecia. W tym dziesięcioleciu przezwyciężyliśmy jedenaście kryzysów gabinetowych, dopro-

wadziliśmy do konsolidacji dwadzieścia siedem stronnictw politycznych i po czterystu piętnastu konferencjach międzypartyjnych rozbiliśmy tę konsolidację dzieląc fundusze między osiem zasadniczych grup dolarowych i szterlingowych. Wygłosiliśmy dwa tysiące czterysta przemówień radiowych. Ogłosiliśmy setki artykułów w takich organach wolnej Europy, jak „Schlesische Rundschau“, „Breslauer Zeitung“. Artyści nasi i pisarze korzystając z pełnej wolności słowa ogłosili dwie pełnotomowe książki i osiem broszur, z których jedna oprawna! Wreszcie dokonaliśmy ogromnej pracy kompletując pierwszą pełną listę kolaborantów w Polsce. Drody słuchacze, są to cyfry zastraszające! Okazało się, że ilość Polaków współpracujących z reżymem warszawskim sięga dwudziestu czterech milionów. Jeżeli tak dalej pójdzie, nie będzie w ogóle kogo wyzwać. Patrzymy jednak w przyszłość z optymizmem. Nie wierząc w defetystyczne argumenty, że stronnictwa polityczne na emigracji skazane są na wymarcie. Stronnictwo Narodowe, którego mam honor być przedstawicielem, składa się, jak wiadomo, z trzech mężczyzn i jednej kobiety, ma więc wszelkie szan-

PROCESY LUBUSKICH „CZAROWNIC”

WSALI Archiwum Państwowego w Sulechowie, za szybą biblioteczną szafy, leży nadgryziona zębem czasu, wyszarżała, w grubą skórę oprawna księga. Na jej tytułowej karcie średniowieczny skryba wypisał inkaustem łaciński tytuł. Brzmi on w przekładzie:

„Protokoły sądu zielonogórskiego z aktów inkwizycyjnych i procesów kryminalnych przeciwko czarownicom z roku 1663-5“.

Ten makabryczny zbiór zeznań składanych przez barbarzyńsko torturowane kobiety posadzone o kon-szachty z czartami oraz akta zapadłych wyroków, skazujących nieszczęsne ofiary na spalenie żywcem — głoszą prawdę o minionych epokach. Prawdę o czasach ciemnoty, zabobonu, wsteczności — na tle wybujałego fanatyzmu religijnego.

Jak wynika z zapisków kaligrafowanych gęsim piórem w owej księdze, sąd wójtowski-ławniczy w Zielonej Górze posiadał uprawnienia duchownych sądów inkwizycyjnych, przelane na jego członków na podstawie bulli papieskiej z 1318 roku.

Ławnicy korzystali w całej pełni ze swej władzy inkwizycyjnej; na przestrzeni jednego tylko trziesięciolecia skazali na spalenie żywcem na stosie trzy chłopki z pobliskiej wsi Krempy, siedemnaście z wiośki służebnej Zawady, siedem z Przylepu, trzy z Płotów i jedną ze starego Kisielina. Nie jest chyba rzeczą przypadku, iż wszystkie skazane były dziewczynkami polskiego pochodzenia, które wzorowo pracowały w swych zagrodach, lecz nierzadko sprzeciwiały się woli pańskiej a także i plebańskiej. Nie chciały również ustępować części gruntów rolnych na rzecz napływających osadników z Brandenburgii, protegowanych przez możnowładców świeckich i duchownych.

Powolni podszeptom panów sołtysów oraz złośliwe sąsiadki, zresztą przy poparciu chłopów, tak jak ogół ówczesnych ludzi wierzących w moc diabelską, wilkołaki, bazyliuszki czy wampiry, wskazali je jako groźne czarownice, pakt z czartem posiadające.

I tak na przykład Sabina Graszynowa z Przylepu koło Zielonej Góry została oskarżona przez właścicielkę wsi dziedzica Melchiora v.Landskron i sąsiadki, iż „od lat utrzymywała stosunki cielesne z diabłem i wlatywała z nim na miotle na diablą górę w Przylepie, aby tam obchodzić sabaty czarownic“.

Mimo straszliwych męk, które znosić musiała od zadanych jej tortur, nie chciała się przyznać do zarzucanej jej „zbrodni“. Sąd zielonogórski uznał jed-

nak fakt za dowiedziony i skazał ją na spalenie żywcem. Wyrok wykonano w dniu 8 listopada 1663 roku, na placu za murami miasta, obok baszty więziennej zwanej „Wieżą Głodową“.

Spalona żywcem 5 lutego 1664 roku chłopka Anna Szubertowa z Zawad „choć była znana jako dobra gospodyni i matka, przez lat dwadzieścia osiem żyła niczym w małżeńskim stanie z potworem piekielnym nazywanym przez nią czule Jasieńkiem“. Wedle zeznań świadków, przesiadywał ten czart stale za jej pazuchą.

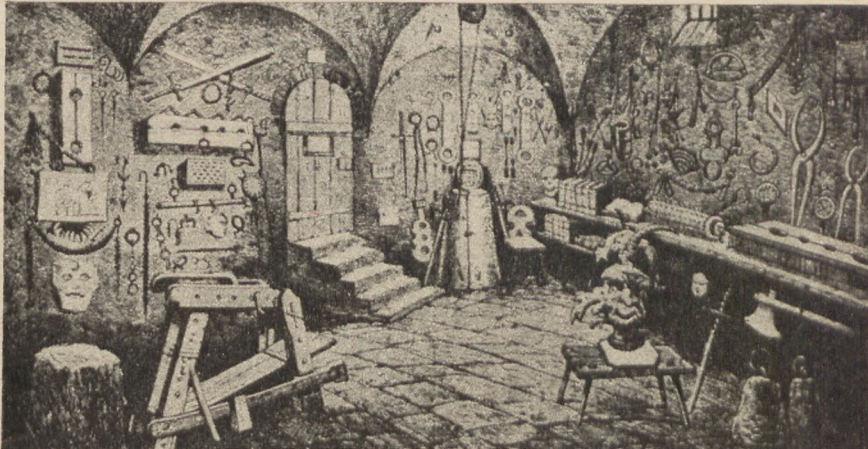
Inne znowu, jak Turkowa, Kluskowa czy Woźniakowa „zamawiały mleko krowie w krew. Nie chciały ponadto regularnie uczęszczać na nabożeństwa i „drwiące uśmiechy robiły w czasie kazań wielbego proboszcza“. Nawet podeszły wiekiem chłop Marcin Myszkowski zginął w płomieniach stosu, bowiem „z niezwykłymi duchami piekielnymi zażywał biesiady“.

Z aktów sądowych dowiadujemy się, że również we wsiach koło Świebodzina, Krosna Odrzańskiego i Gubina ofiarami sądów inkwizycyjnych padali liczni chłopki polscy, „którym czart pomagał w przeciwstawianiu się proboszczom i panom włości, nierzadko nawet siłą“.

Były to więc wyraźne objawy walki klasowej:

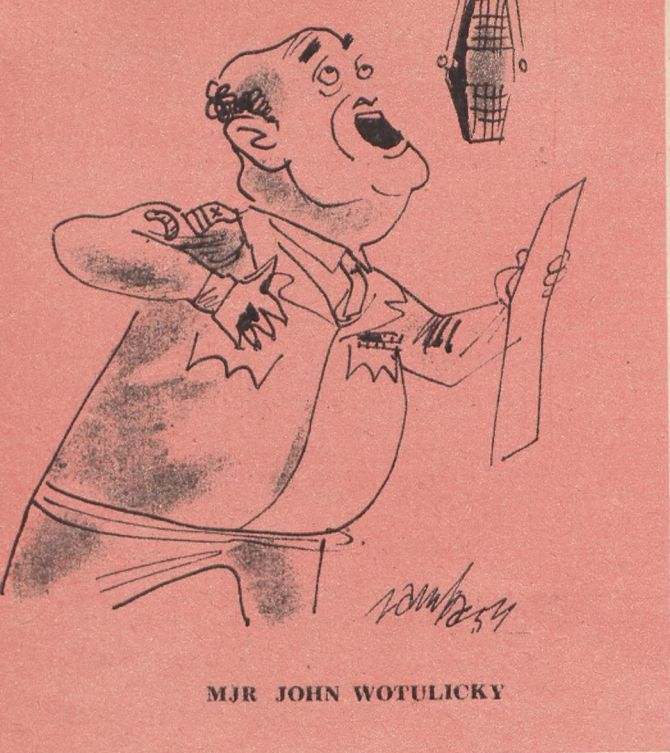


Wlewanie gorącego oleju do ucha



Tak wygląda izba tortur w Norymberdze. Dręczono w niej niewinnych ludzi

MIECZYSLAW TURSKI



MJR JOHN WOTULICKY

se, aby się rozmnożyć. Naszą dewizą są dewizy. Wszystkie dewizy! Naszym hasłem jest Polska od może do... może.

SPEAKER: Głos ma profesor major Buc-Rozdziawa.

MJR BUC-ROZDZIAWA: Zastanówmy się chwilę nad przyszłą strukturą ekonomiczną naszego kochanego kraju. Pierwszą naszą troską po powrocie do ojczyzny będzie oczywiście obalenie socjalizmu. Co to jest socjalizm, drodzy słuchacze? Jest to walka pracy z kapitałem. Ponieważ po trzeciej wojnie nie będzie w Polsce kapitału i nie będzie pracy, wobec tego nie będzie socjalizmu. Proste? Idźmy dalej... Przepraszam na chwilę, muszę najpierw wykreślić socjalizm, bo później mógłbym zapomnieć (wyjmuje notesik i wykreśla). Więc socjalizmu nie ma. Następnym etapem po socjalizmie jest, jak wiadomo, komunizm. Ponieważ nasz kraj jeszcze do tego etapu nie doszedł, więc komunizmu nie będzie. Co pozostaje? Etap. Skreślamy etap (skreśla). A teraz jaką produkcję przemysłową zajmie się nasz kochany kraj? Żadną, ponieważ państwa zachodnie, które nas zamierzają wyzwolić, same zajmują się tą produkcją i chodzi im o rynki zbytu. Produkcji przemysłowej nie będzie... (wykreśla). Wykreślamy. Cóż więc pozostaje? No? Bardzo łatwo zgadnąć. Produkcja rolna. Ponieważ jednak przemysłu nie będzie, nie będziemy posiadali ani maszyn rolniczych, ani nawozów sztucznych. Produkcji rolnej nie będzie. Nawozy sztuczne wykreślamy. Cóż więc pozostaje? Odpowiedź jest bardzo prosta. Oczywiście nawozy naturalne... czyli... na tym skończymy naszą dzisiejszą pogadankę ekonomiczną.

SPEAKER: A teraz nadamy słuchowisko „Piosenki naszej Warszawy”. Panie pułkowniku... proszę.

PULK. LeCHITA: Drodzy słuchacze. Przenieśmy się wspomnieniami do dawnej naszej Warszawy, gdzie wszystko dyszało polskością: Arizona, Adria w gmachu Reunione Adriatic di Sicurtà, Caveaux Caucasienn... Panie majorze... Prosimy... Number one.

MJR JOHN WOTULICKY: Jak pantera, co w złotej klatce śpi, Prężysz swój złocisty kark I rozchylasz czerwien warg. By za chwilę zwinąć ramionami u mych bark. Jak pantera wychodzisz żądna krwi...

PULK. LeCHITA: Jakie bogactwo! Złota klatka, złota pantera, złoty kark. I to, pomyśleć, wszystko w przedwojennych złotych. I jakaż w tym wróżebność: czerwien warg i rząd na krwi...

MJR J. WOTULICKY: Proszę piosenka number two. Pani dziś jest bez koszulki, Słońce mi zdradziło to, Widzę dwie małe kulkę i zakątków innych sto...

PULK. LeCHITA: Dość. Wystarczy ta mała próbka lekkości i wdzięku. Co to były za czasy. Pomyślcie, sto zakątków w ciebie kobiecym! A dziś? Człowiek z ledwością doliczy się... ośmiu, przepraszam, dziewięciu. Myśmy widzieli ich sto, bo nas wtedy żadne socrealizmy nie obowiązywały. Albo ta uroczna piosenka... Dziękuję... Ja sam zaśpiewam.

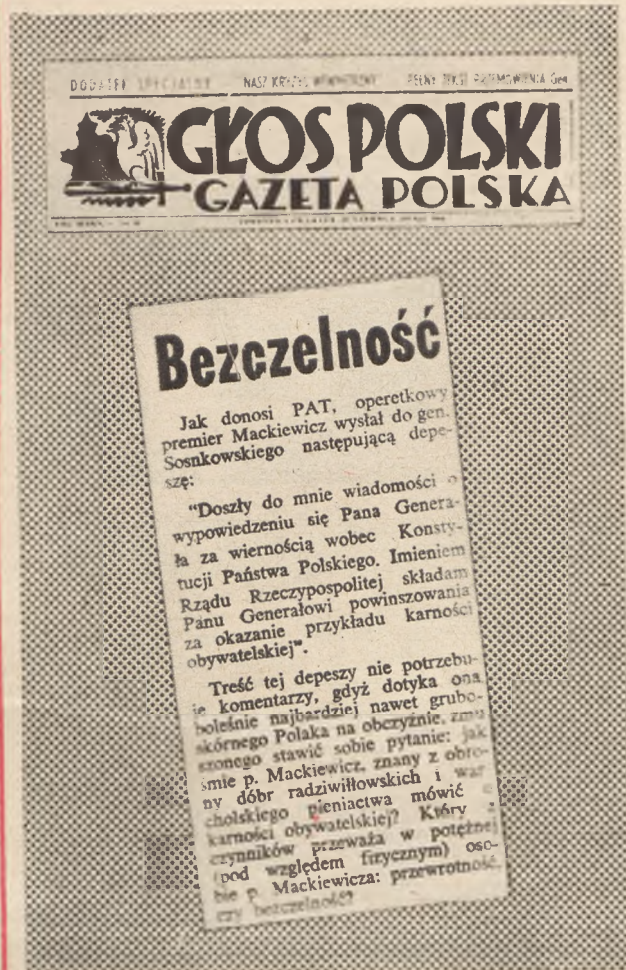
Madame Lulu
Ma szyk desu
Auta, klejnoty i stroje.
Żyje bez burz
W Alei Róż...
Sama... lub czasem we dwoje.

Madame Lulu mieszka w Alei Róż. A kto dzisiaj w Alei Róż mieszka? Adam Ważyk. I co się teraz śpiewa w tej Polsce reżymowej? Na lewo most, na prawo most, a środkiem Wisła płynie... Nie, panowie! Myśmy mieli tylko jeden most wprost przed nami. Most zaleszczycki! Uwaga! Tu... „Głos Ameryki”... Nadaliśmy audycję pt. „Dziesięciolecie”. Słuchajcie naszej audycji za następne dziesięć lat. W ogóle słuchajcie nas co każde dziesięciolecie.

SWIAT o tym wie!

HO, HO, HO!!!

Oczom własnym nie chcieliśmy wierzyć, gdy otwierając numer emigranckiego piśmka „Głos Polski — Gazeta Polska” (Toronto, Kanada, 24 czerwca 1954 r.) ujrzeliśmy pod nagłówkiem „Bezczelność” słowa „operetkowy premier Mackiewicz”. Tak więc dożyliśmy takich czasów, kiedy emigracyjne pismo nazywa się swego własnego, londyńskiego dostojnika operetkowego premierem. Zresztą czytajcie sami:



Rzecz wymaga kilku słów wyjaśnienia. Otóż pan Mackiewicz (tak, tak, onże Cat-Mackiewicz) został mianowany „premierem” przez „prezydenta” Zaleskiego po dokonaniu przez tego ostatniego „zamachu stanu”. Jeśli o tym nie wiecie, to dowiedzcie się, że przed kilku tygodniami taki właśnie zamach stanu wydarzył się w Londynie, kiedy to p. Zaleski odmówił opuszczenia stanowiska „prezydenta”, choć mu się „kadenoja” skończyła. Lejb-organ emigracyjnych rządów „Dziennik Polski” i „Dziennik Żołnierza” zareagował na te nowe „wypadki majowe” artykułem pt. „Pan Zaleski postawił się poza prawem”. Co nie przeszkodziło panu Zaleskiemu mianować nowego „premiera” w osobie Cata-Mackiewicza. I stąd gniew kanadyjskiego „Głosu — Gazety”, będącego organem generała Sosnkowskiego, który już sobie ostrzył zęby na stanowisko prezydenta po Zaleskim i został tak haniebnie wystrychnięty na dudka.

Do komentarza kanadyjskiego piśmka mamy tylko jedną uwagę: to wszystko już dawno przestało być operetką, a stało się bardzo kiepską farsą, w której „pan generał Sosnkowski” jest figurą równie błazeńską jak „pan premier” Mackiewicz.



WUJASZEK KOPF I „SCHLESIIERTREFFEN”

Pisaliśmy niedawno o kolejnym zlocie niemieckich odwetowców, tzw. „Schlesiertreffen”, wyznaczonym na 10—11 lipca w Hanowerze (ob. plakat). Obecnie doszło nas parę dodatkowych wiadomości na ten temat.

NORDWESTDEUTSCHES SCHLESIIERTREFFEN



Jak donosi rewizjonistyczny „Ost - West - Kurier”, otwarcia zjazdu dokonał boński wicekanclerz Franz Bluecher. „Patronat” zaś nad tą imprezą objął nie kto inny, tylko premier Dolnej Saksonii,

Heinrich Wilhelm Kopf. Na piersi jego błyszcząły „ordery wszystkich epok”, ściśle biorąc, te z czasów Kaisera i te od Hitlera. Ostatnio przybył „Krzyż Zasłużonych”, przyznany niedawno Kopfowi przez rząd w Bonn.

„Ost - West - Kurier” obdarza Herr Kopfa dobrośliwym przydomkiem „wujaszka”. Bardzo to wzruszające, jeśli się zważy, że „wujaszek Kopf” to notoryczny zbrodniarz wojenny, którego wydania władze polskie domagały się niejednokrotnie. W czasie okupacji Herr Kopf przebywał na Śląsku, rządząc Królewską Hutą (Chorzów) z ramienia Hitlera oraz niemieckich koncernów. (Na zdjęciu do niniejszego, pochodzącym z roku 1942, Kopf — trzeci od lewej — w gronie najbliższych współpracowników).

Z tytułu swych „ślaskich doświadczeń” czasu wojny dziś Herr Kopf patronuje „Schlesiertreffen”...



WIĘCEJ NIŻ PODOBIENSTWO

Fotograf amerykańskiej Agencji „Associated Press”



dokonał kilka tygodni temu dość przypadkowego zdjęcia. Sfotografował on mianowicie J. Edgara Hoovera, szefa osławionego FBI, czyli amerykańskiej policji śledczej, w towarzystwie jednego z ulubionych jego psów.

Teraz widać jak na dłoni, że mr Hoover podwójnie zasługuje na przydomek psa policyjnego, jakim go darzą w Ameryce.

GRUBA ŚWINIA Z CANNES

„Grubą swinią” nazywają francuscy dziennikarze cesarza Bao Daia, marionetkowego władcy Wietnamu. Bao Dai jest jednym z najzręczniejszych kombinatorów finansowych naszych czasów. Sprzedając swe usługi kolejno to reakcyjnemu rządowi francuskiemu, to znów Waszyngtonowi i łupiąc gruntownie własne kasy państwowe, Bao Dai dorobił się ogromnego majątku, m. in. kupił sobie luksusową willę w Cannes, na francuskiej Rivierze, gdzie spędza wesołe czasy wśród swej świty. W Wietnamie od ośmiu lat płynie krew w „brudnej wojnie”, która toczy się między innymi po to, by „gruba swinia z Cannes” niała za co hulać.



— Proszę — powiedziała leciwa jejność w okolicach sześćdziesiątki — tu jest moja metryka urodzenia, a to poświadczanie zamieszkania — i położyła na stole dwa papierki.
— ???

— Czy potrzebne są jeszcze jakieś dokumenty?
— O nie. Od pani to już wszystko, ale brak jeszcze dokumentów... pana.
— Ach, jak to? To panowie nie załatwiają męża? Przecież wyraźnie napisane, że „wszystkie formalności... Zawiedziona, zabrała ze stołu swoje papiery.

— A ja myślałam, że to prawdziwe biuro matrymonialne.
Nie, mój drodzy, to nie jest wytwór fantazji. Ow dialog Syrenka słyszała na własne uszy. A jak to było, opowiem.

W czasie mych spacerów po Warszawie spostrzegłam na MDM (Marszałkowska 55/73) spory sztyt: „Inwalidzka Spółdzielnia Emerytów Nauczycieli „Wspólna Sprawa“ załatwia formalności ślubne“, a tuż obok wywieszkę: „Oszczędzisz wiele czasu i unikniesz niejednego kłopotu, jeśli zlecisz załatwienie formalności związanych z zawarciem małżeństwa punktowemu usługowemu Nr 20...“

„Coś dla mnie“ — pomyślałam z radością. Nie dlatego, boń Boże, żebym zamierzała wstąpić w związek małżeński, ale dlatego, bym moim kochanym Czytelnikom mogła się wreszcie pokazać z uśmiechem na twarzy. Już mi nawet wymawiano, że Syrenka to nie, tylko tyczy lub groźna mina i mlec do góry!

No więc właśnie. Cieszę się i uśmiecham z radością na myśl, że powstała instytucja, której celem jest ułatwianie ludziom życia.

Nie, nie. Tylko bez filozoficznych dyskusji. Nie mam zamiaru polemizować na temat, czy pomagać w zawieraniu mał-

żeństwa, to znaczy ułatwiać czy utrudniać ludziom życie. Wrogów małżeństwa mogą zresztą pocieszyć, że na stoliku w punkcie usługowym „Wspólna Sprawa“ ktoś dyskretnie położył książeczkę pt. „Sposób na żonę“ i aczkolwiek w cenniku nie figuruje pozycja: wypożyczanie książek, myślę, że i w tym względzie da się coś zrobić...

No, a skoro jest już sposób na żonę, to głowa do góry! Nie ma więcej żadnych przeszkód. Bierz lubą pod ramię i wal prosto na MDM. Zwłaszcza że małżeństwo jest... tanie jak baraszki! Za jedne 20 zł wyrobisz ci metryki urodzenia i inne potrzebne papierki, ustalą termin ślubu z Urzędem Stanu Cywilnego i powiadomią cię o nim, jednym słowem, bezboleśnie przygotują cię do stanu małżeńskiego.

Pomyślcie tylko. Ile się człowiek musiał nabiegać za dokumentami po sądach i urzędach, ile godzin wystawał w ogonkach, ile razy musiał się zwałniać z pracy, żeby pozatławić formalności, które najbardziej zakochanym odebrać mogły ochotę do żeniaczki.

A teraz? Wszystko to robi za was „Wspólna Sprawa“.

Cheesz zamówić i wysłać kwiaty narzeczonej? Załatwi to także za opłatą zł 10. Cheesz zamówić samochód na tę uroczystość? Za cztery złociste limuzyna z kierowcą czeka na ciebie przed domem. Pragniesz zrobić sobie z ukochaną piękne ślubne zdjęcie? Powiedz słówko, zapłać 10 zł, a fotograf zjawi się w domu lub w Urzędzie Stanu Cywilnego w oznaczonym dniu i godzinie. Zamierzasz urządzić przyjęcie, a nie masz czasu się tym zająć? Za 8 zł zrobi to za ciebie „Wspólna Sprawa“. Nie masz zastawy ani naczyń? Drobniag. Talerze wypożyczają ci za skromne 8 groszy od sztuki, noże po 10 gr, widelce po 15, a szklanki zwykłe po 5 gr. Ale kto by w taki dzień oszczędzał! Niech już będą te szklowane po 10 gr od sztuki. Raz kocio śmierć, nie co dzień się człowiek żeni!

Przydałaby się muzyka? Proszę bar-

dzo. Dwa złote i jest patefon. A płyty po 20 groszy. Po tańcach trzeba się ochłodzić? Cóż prostszego? Maszynka do lodów kosztuje tylko 1.55 zł. Za jedne 15 zł dostarczą ci ten cały sprzęt do domu, a post factum zablora.

No, przynajmniej sami, zatwardziali kawalerowie, czy nie bierze was chętna na jakiś mały ślubik? We wszystkich skomplikowanych zabiegach małżeńskich wyręczy was punkt usługowy Nr 20. Wam zostaje sama przyjemność!!!

Duszom sentymentalnym i czułym sercom dodam jeszcze na ucho, że na wprost wejścia do „Wspólnej Sprawy“ ułożyły sobie gniazdko dwa czułe gołąbki. Mówcie, co chcecie, ale ja wam powiadom, że to szczęśliwy omen. I gdybym zamierzała w legalny sposób porzucić dziewictwo, to tylko z pomocą punktu usługowego „pod gołąbkami“.

A „Wspólnej Sprawy“ życzę z całego serca zamiast klitki, nadającej się na kiosk z gazetami, nowego, porządnego lokalu, o którym marzy, telefonu, który jej się słusznie należy, pięknej limuzyny do rozwózienia nowożeńców i takiego powodzenia, jakim cieszy się bratnia placówka usługowa we Wrocławiu!



Od i do Czytelników

...taki od dzisiaj będzie nosił tytuł nasz dział, z tym oczywiście, że słowo „drodzy“ wypadło tylko ze swej funkcji formalnej, pozostanie bowiem w całej treści naszych dalszych cotygodniowych rozmów. Macie prawo, drodzy Czytelnicy, zapytać: a po co ta zmiana? Na to pytanie odpowie nasz Czytelnik ob. T. Stępiński z Warszawy, którego życzenie realizujemy, poczynając od tego numeru „ŚWIATA“.

A oto co pisał do nas Ob. Stępiński:

„Mam takie wrażenie, że tytuł działu „Drodzy Czytelnicy“ nie zupełnie odpowiada temu, co obiecuje, Bo częściej czytelnicy są tu drukowani, a mniej znajdujemy wypowiedzi Redakcji. Lepiej pasowałby np. tytuł „Od i do Czytelników“, wówczas bowiem mogłaby się rozwinąć bliższa i może ciekawsza wymiana myśli między nami, a sam dział byłby bardziej jakoś określony“.

Uwagę tę redakcja rozpatrzyła i doszła do wniosku, że jest całkowicie słuszna. Istotnie bowiem można byłoby przypuszczać, śledząc ostatnie numery „ŚWIATA“, że dział „Drodzy Czytelnicy“ jest tylko rubryką przeznaczoną na zamieszczanie listów i wyjaśnień. A nie taki jest nasz zamiar i nie takie życzenie wielu Czytelników. Dlatego też zmieniając tytuł będziemy się starali zmienić także charakter samego działu. Jak to sobie wyobrażamy?

Przed wszystkim dokończymy starań, aby na zbliżone zagadnienia poruszane w wielu listach nadsyłanych do redakcji odpowiedzieć sumarycznie, podejmując szerzej sam problem i zajmując wobec niego określone stanowisko. Ponadto uczynimy ze swej strony próby stawiania aktualnych problemów, aby nawiązać kontakt z Czytelnikami w celu zasięgnięcia ich opinii, usłyszania ich uwag, zastrzeżeń czy wątpliwości.

Wydaje nam się, że tak pomyślana wymiana myśli uchroni obie strony korespondujące przed przypadkowymi i często marginesowymi sprawami, którym może zbyt dużo miejsca poświęciliśmy dotychczas. Na zakończenie tych uwag zwracamy się jeszcze raz z prośbą do Was, Drodzy Czytelnicy, o wypowiedzenie się na poruszony powyżej temat, co umożliwi nam właściwe i odpowiadające potrzebom naszych korespondentów ustalenie formuły tego działu, który jest przecież własnością przede wszystkim jednak — Czytelników „ŚWIATA“.

REDAKCJA

KONKURS NIEUSTAJĄCY TRWA

Co miesiąc przyznawać będziemy 3—5 nagród autorom (lub posiadaczom) nadesłanych w tym miesiącu najciekawszych zdjęć. W związku z tym przypominamy raz jeszcze warunki konkursu:

1. Zdjęcia (ilość nie jest ograniczona) muszą być bezwzględnie autentyczne. Jeżeli autor ich jest znany — to należy go wymienić. Jeżeli nie — podać zwieźle pochodzenie zdjęć.

2. Każde zdjęcie musi być opatrzone krótkim wyjaśnieniem: gdzie i kiedy zostało dokonane. Jeżeli możliwe — kto jest na zdjęciu.

3. Nadsyłający winien napisać, czy dysponuje negatywem zdjęcia, czy też tylko odbitką.

Korespondencję, zdjęcia, uwagi, zapytania w sprawie konkursu — prosimy kierować na adres Redakcji z dopiskiem na kopercie:

„POSZUKAJ W SZUFLADZIE!“

DALSZA LISTA NAGRODZONYCH W KONKURSIE „POSZUKAJ W SZUFLADZIE“

Podajemy dziś nazwiska uczestników naszego konkursu, którzy uzyskali nagrody od 4 do 10.

NAGRODY 4—7 — PO DZIESIĘĆ FILMÓW „AGFA“:

Z. Jarkiewicz, Warszawa

J. Roguski, Poznań

M. Cygan, Gdynia

E. Basiński, Poznań

(wymienieni proszeni są o podanie, czy pragną otrzymać filmy małoobrazkowe, czy formatu 6×9 cm).

NAGRODY 8—10 — ALBUMY FOTOGRAFICZNE:

A. Rabcza, Zamość

L. Neuman, Wrocław

W. Gawrak, Warszawa.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelnicy: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch“ Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkleślodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa“ Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 408. Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-14338 podpisano do druku 21.VII.54.

ZACMIENIE

Dokończenie ze str. 15

aniżeli oko spostrzega, gdzie ma ona już dostateczną gęstość do odbijania światła. Prócz tej atmosfery, spostrzegli Astronomowie, tak jak w roku 1842, wysoki czerwony, do gór lodowych różowo-fioletowym światłem oświetlonych podobne; miały one w r.b. postać rożków; nadto w Łomży ponad niemi widziano punkt odosobniony, pozornie jakby w powietrzu zawieszony. Miejsca, gdzie te wysoki widziano, w Łomży, w Warszawie i Wysokiem — Mazowieckiem do jednego punktu Słońca odnosi się zdają. Fenomen ten zatem, wbrew opinii niektórych uczonych, nie jako mamidło optyczne (mirage), początek swój biorące w atmosferze ziemskiej, lecz jako zjawisko kosmiczne, poza krańcami ziemi i jej atmosfery leżące, uważać należy.

Cóż to bowiem są te góry czerwone? Z porównania małej liczby obserwacji, zdają się być one, chmurami w atmosferze Słonecznej pływającymi. Zaiste! chmury te olbrzymie, gdyż w r.b. widziane wielkością swoją 10 razy przewyższają ziemię całą. W jak więc kolosalnych rozmiarach wszystko się tam odbywa? Czy późniejsze i liczniejsze porównania, nie zbiją tej hipotezy, lub inne więcej prawdopodobne wyrodzą, zobaczymy. Stacja Wysokie-Mazowieckie nie miała całkiem pomyślnego stanu nieba i z tej właśnie przyczyny, widział zjawiska atmosferyczne nadzwyczaj ciekawe, których inne stacje, całkiem czyste niebo, lub zupełnie pochmurzone mające, widzieć nie mogły. Gdy Xiężyc do połowy zakrył tarczę Słońca, widziano przez kilka minut drugi obraz sierpa na dwa stopnie od prawdziwego odległy, i bledszem świecący światłem. Jest to zjawisko nader rzadkie podwój-

nem słońcem (anhelie) zwane; pochodzi ono z odbicia światła od igiełek lodu, w najwyższych warstwach chmur. Na kilka chwil przed zupełnym zniknięciem światła Słonecznego, kiedy wszystkie przedmioty okryła pomroka, mająca zupełnie odmienny charakter od ciemności nocnych, Słońce okazało się otoczone świetną tarczą z drobnych promieni złożoną, mającą do 6 stopni średnicy. Świeciła ona światłem białym, białem spokojnym; promienie, które ją składały nie odmieniały miejsca ani długości. Po zupełnym zniknięciu Słońca, zjawisko to również znikło zupełnie, ustępując miejsca świetnej koronie, która Xiężyc w około oblała. Widok, jaki się w chwili zupełnej ciemności przedstawił oczom obserwatorów był nieopisaniej wspaniałości. W Wysokiem-Mazowieckiem, niebo zostało pokryte chmurami poszarpanymi, które w chwili tej uroczystej, czarno-olowianą przybrały barwę i dziwną jakąś ostrość konturów dostały. Łazarz nieba pomiędzy niemi przebijający, przybrał w stronie wschodniej kolor ciemno niebieski; a w zachodniej, złoto-pomarańczowy. Natężenie kolorów było tak silne, że przez żadne ich kontrasta, wytłumaczyć się nie dał.

O wpływie na zwierzęta pisze Przysiański w „Bibliotece Warszawskiej“: „Istnienie ogólnego wpływu najlepiej się objawia przez głuche milczenie, panujące w naturze podczas całkowitego zaćmienia. Stanowisko wybrane przez nas do obserwacji, leżąc między folwarkiem a polami, dozwoliło nam obserwować tak dzikie, jak i domowe ptactwo. Ogólna cisza świadczyła o ich przerażeniu; dopiero za ukazaniem się pierwszego promienia powstał na nowo wesoły śpiew skowronków i kwaczenie domowego drobiu. Pies w pobliżności nas stojący podczas całkowitego zaćmienia stał zeszutniały, jak wryty, rozglądając się po niebie. Konie bronujące wówczas nie okazały żadnego widocznego zdumienia; zdawały się być zupełnie obojętne tak w niezwykłym czasie przypadłej nocy“.

Z górą sto lat minęło od przedstawionych tu zdarzeń. Na uwagę zasługuje wszechstronność i dokładność przeprowadzonych obserwacji, co przy ówczesnym stanie nauki i rozwoju techniki nie było rzeczą łatwą.

Zjawiska tego rodzaju budzą w nas dzisiaj niemięjszą ciekawość niż przed stu laty, lecz w jakże odmiennych warunkach prowadzimy badania — bogatsi w wiedzę i wyposażeni w potężne narzędzia obserwacji.

Opracowali:

Mgr inż. JAN KISIEL i mgr inż. MICHAŁ NOWICKI

Wszystkie materiały źródłowe zostały zaczerpnięte ze zbiorów Biblioteki Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie dzięki uprzejmości i pomocy personelu Ośrodka Informacyjno-Bibliograficznego tej Biblioteki.

ANEGDOTY

ORYGINALNY LIST

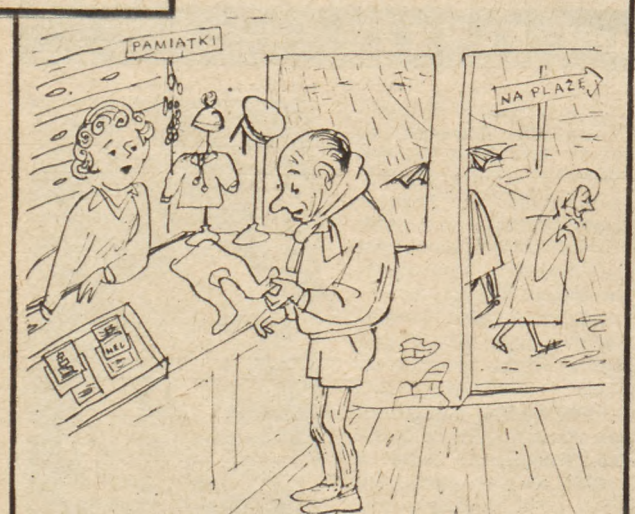
Przed kilkoma laty do Londynu nadszedł list adresowany do Karola Dickensa. Oczywiście poczta zwróciła ten list z adnotacją, że adresat od przeszło 70 lat już nie żyje. Nadawcą tego listu była znana wytwórnia filmowa z Hollywood, która pragnęła uzyskać pozwolenie na sfilmowanie jednej z powieści autora „Klubu Pickwicka“.

CENZURA O „MARTWYCH DUSZACH“

Kiedy rękopis pierwszego tomu „Martwych dusz“ M. Gogola dostał się w ręce moskiewskiej cenzury, jej przewodniczący Gołochwastow kategorycznie sprzeciwił się opublikowaniu powieści:

— Nie, na to nigdy nie pozwolę — oświadczył — dusza bowiem bywa nieśmiertelna, ale martwej duszy nie ma... J. K.

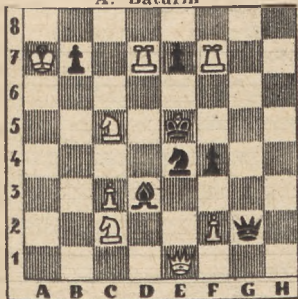
LENGREN



Czy nie ma pani czegoś większego w tym rodzaju?

ZADANIE
POZAKONKURSOWE

A. Baturin



Mat w 2 posunięciach

PARTIA NR 117

grana w XIV rundzie tego-
rocznego turnieju strefowego
w Pradze.

Partia angielska

Białe: L. Szabo (Węgry)
Czarne: L. Pachman (Czecho-
słowacja).1. c2-c4 e7-e5 2. Sb1-c3
Sb8-c6 3. Sg1-f3 g7-g6.

Ciekawe, że w swoim pod-
ręczniku debiutowym Pach-
man potępia ostatnie posunię-
cia czarnych, twierdząc, że
prowadzi ono do trudnej po-
zycji. Zamieszczona tu par-
tia jest jeszcze jednym tego
dowodem.

4. d2-d4 e5:d4 5. Sb1-c3!
Jest to najbardziej ener-
giczna kontynuacja, która
jaskrawo wykazuje słabość
trzeciego ruchu czarnych.

5... Gf8-g7 6. Gc1-g5 f7-f6
W partii Sandrin - Hor-
witz (mistrzostwa USA, 1946)
nastąpiło 6... Sf6 7. S:d4 0-0
8. Sb5 h6 9. G:f6 G:f6 10. Hd2
Gg7 11. Sb:c7 Wb8 12. Sb5 d6
13. e3 a6 14. Sbc3 z przewagą
białych.

7. Gg5-f4 d7-d6 8. Sf3:d4
a7-a6.

Czarne przeciwdziałają nie-
przyjemnemu wypadowi 9.
Sb5.

9. h2-h4 h7-h6 10. g2-g3

f6-f5 11. Sd4:e6 b7:c6 12.
Sd5-c3 Wa8-b8 13. Hd1-d2
c6-c5 14. Gf1-g2 Gc8-b7 15.
Gg2:b7 Wb8:b7.

Czarnym udało się wymie-
nić jeszcze po jednej figurze,
ale nie rozwiązało to proble-
mów obrony.

16. 0-0 Sg8-f6 17. e2-e4!
f5:e4 17. Sc3:e4 Sf6:e4 19. Hd2
-d5 Wb7-b2 20. Wa1-e1!
Jest to silniejsze niż na-
tychmiastowe 20. H:e4+.

20... Gg7-f6.

Czarne przygotowują sobie
schronienie dla króla.

21. We1:e4+ Ke8-f8 22. h4-
h5.

W ten sposób Szabo rozbi-
ja osłonę nieprzyjacielskiego
króla.

22... g6-g5 23. Gf4-c1 Wb2
-b8 24. Hd5-f5 Wh8-g8 25.
We4-e6 Kf8-f7 26. Wf1-e1
c7-c6 27. Gc1-d2 i czarne
podały się. Nie ma obrony
przeciw 28. Gd2-c3.

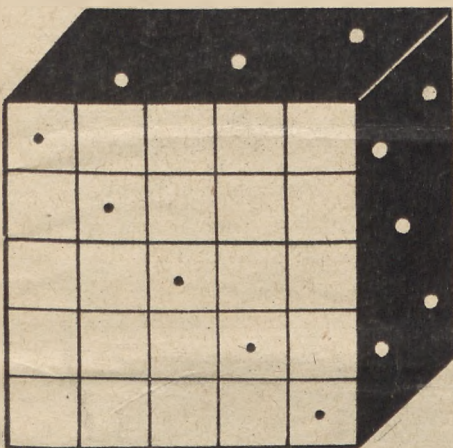
W dzisiejszym odcinku
nowe bluzki. Pierwsza u-
góry jest bardziej strojna
— nadaje się raczej na po-
łudnie. Natomiast dwie
pozostałe śmiało możemy
nosić do pracy.

Zwracamy uwagę, że
bluzka wykończona bia-
łym absolutnie nie nadaje
się do kostiumu. Pozostałe
możemy nosić pod żakiet.



ROZRYWKI UMYSŁOWE

MAGICZNY KWADRAT



Do podanego kwadratu wpisać 5 wyrazów
pięcioliterowych o poniższych znaczeniach,
tak, aby można je było czytać jednakowo
poziomo i pionowo. Litery na zaznaczonej
przekątnej dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) W języku rosyj-
skim: szynk, karczma, 2) Napój wysokokowy
z kumysu, 3) Plac sprzedaży, rynek, 4) Roślina
śródlądowa, której liście służą za
wzór do wielu ornamentów, 5) Część książki
lub zeszytu.

(„Anka” — Słupsk)

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie
10-dniowym od daty ukazania się numeru
pod adresem redakcji z dopiskiem na ko-
percie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytel-
ników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiąza-
nie, rozlosowane zostaną

nagrody książkowe.

UKAZAŁ SIĘ NR 2
MIESIĘCZNIKA
„ZESZYTY TEORETYCZNO-POLITYCZNE”
1954 (lipiec)

SPIS RZECZY:

1. Mao Tse-tung — O prawidłowy styl w pracy partii
2. P. Kotelnicki — Krytyka i samokrytyka — siła napędowa
rozwoju społeczeństwa radzieckiego
3. Nie opublikowane listy Maksyma Gorkiego o realizmie
socjalistycznym
4. Z. Jermilow — O realizm socjalistyczny
5. H. Nikolajewa — O specyfice literatury pięknej
6. I. Wiazmin — Formy więzi ekonomicznej między miastem
i wsią w ustroju socjalistycznym
7. Kiank Siu mo — Prawa ekonomiczne w warunkach nowej
demokracji w Chinach
8. I. Chrienow — Powstanie Łódzkie 1905 r.
9. S. Mury — Sprawa księży-robotników
10. D. Zasławski — Obskuranizm z Uniwersytetu Harward-
skiego

DYSKUSJE

11. B. Kiedrow — Stopniowość jako jedna z form przejścia
od starej jakości do nowej

RECENZJE

12. S. Tarasow — Wydawać więcej popularnych broszur
13. M. Dawydow — Wszelkoniemnie opracowywać zagadnie-
nie roli mas ludowych w historii, w budownictwie komu-
nizmu
14. M. Moissonnier — Historia narodu francuskiego widziana
oczami p. Duveau, czyli od antykomunizmu do „wspólno-
ty europejskiej”.

KRONIKA

W sprawie przygotowania wielotomowej „Historii Pow-
stania”.

W Instytucie Historii Niemiec przy Uniwersytecie im. Mar-
cyna Lutra w Halle-Wittenbergu.

BIBLIOGRAFIA

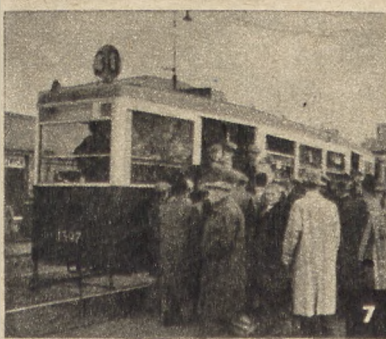
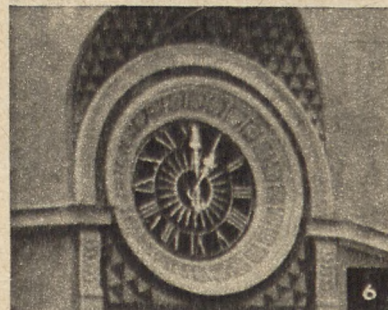
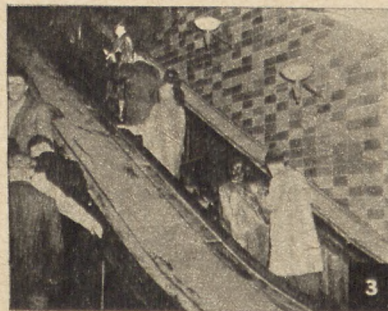
„Zeszyty teoretyczno-polityczne” są do nabycia we wszyst-
kich kioskach PPK „Ruch” oraz w księgarniach „Dom
Książki”. Zgłoszenia na prenumeratę przyjmuje każdy Urząd
Pocztowy.

CENA W PRENUMERACIE

kwartalnej zł 12.—
półrocznej zł 24.—
rocznej zł 48.—

Cena pojedynczego zeszytu zł 4.—

„KSIĄŻKA I WIEDZA”

ROZWIĄZANIE ZGADYWANKI
„EGZAMIN Z WYOBRAŹNI”



EGZAMIN Z WYOBRAŹNI

Kiedy się przeszło do następnej klasy — należy się człowiekowi nagroda. Najbardziej upragnioną i wymarzoną jest — wycieczka do Warszawy. A więc — przyjeżdżamy do stolicy! A teraz — uwaga: spróbujcie towarzyszyć nam w wędrówce po Warszawie — i zgadnijcie, którą biegła trasa, jak spędziliśmy dzień, cośmy zdążyli obejrzeć, jakimi środkami lokomocji poruszaliśmy się po mieście, gdzieśmy się pożywiali... Na każdym rysunku zostaliśmy przychwyteni w jakiejś konkretnej sytuacji — i wcale nie trudno każdą z nich odgadnąć. Wystarczy znajomość Warszawy i... trochę wyobraźni. A więc — przystępujemy do egzaminu. Jeśli Wam się jednak nie powiedzie, no to... trudno. Na str. 23 znajdziecie zdjęcia z kolejnych etapów naszej warszawskiej wędrówki; odczytajcie cyfrę umieszczoną na zdjęciu, poszukajcie teraz rysunku opatrzonego identyczną cyfrą i... dopiero się będziecie dziwić: Jak można było nie zgadnąć, kiedy to takie oczywiste?



3



1



2



4



5



7



6



8



9

Rys. LECH ZAHORSKI